TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 2 (1048)
8 STYCZNIA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

TEATR

czytaj strona 6-7

Eugeniusz Iwanicki

KSIĄŻKA TO RZECZ POWAŻNA

STRONA 3

Tadeusz Gicgier

SAGA RODU LUTOSŁAWSKICH

STRONA 5

nowa powieść Edwarda Kopczyńskiego

MIŁOŚĆ I MEDYCYNA

STRONA 10

TOMASZ SOLDENHOFF

„FRANCUSKA PRZYGODA PSTRĄGA"

strona 8

„Wierzę głęboko, że osiągniemy nasze narodowe cele i dążenia, jeśli umocnimy to co jest wartością najwyższą – patriotyczną jedność wszystkich Polaków w służbie Ojczyzny."

Foto: CAF

W ostatnim dniu upływającego 1977 roku, I sekretarz KC PZPR tow. Edward Gierek wygłosił następujące przemówienie przed kamerami obu programów Telewizji Polskiej i mikrofonami wszystkich czterech programów Polskiego Radia.

DRODZY RODACY!

W uroczysty sylwestrowy wieczór, kiedy zamykamy ostatnią kartę tegorocznego kalendarza, zwracam się do Was ze słowami serdecznych pozdrowień. Jednoczymy się dziś w gronie najbliższych i przyjaciół, połączeni wspólną pracą, wspólnymi pragnieniami i nadziejami. Polskie serca biją zgodnym rytmem w poczuciu umiłowania Ojczyzny.

Tradycyjnym zwyczajem ogarniamy spojrzeniem rok, który odchodzi. I mówimy sobie otwarcie — był to rok niełatwy. Dokonaliśmy jednak dalszego postępu na drodze budowy Polski silnej i nowoczesnej. Mamy powody do satysfakcji i dumy z owoców wielkiego, ogólnonarodowego wysiłku. Wzrosła produkcja przemysłowa i wydajność pracy, kolejny krok ku nowoczesności uczyniło polskie rolnictwo. Kraj nasz wzbogacił się o nowe zakłady przemysłowe, o nowe osiedla mieszkaniowe i obiekty użyteczności publicznej. Wzrósł zakres opieki nad ludźmi w podeszłym wieku, nad weteranami walk i pracy w mieście i na wsi. Poprawiły się warunki pracy i wypoczynku. Dorobek naszego narodu powiększyły nowe cenne prace polskich uczonych, dzieła twórców kultury i sztuki.

Dokonaliśmy wiele, ale znacznie więcej mamy do zrobienia. Nasze powszednie życie nie jest wolne od trosk i kłopotów. Są nam one dobrze znane, wspólnie je przeżywamy. Staramy się robić wszystko, aby je łagodzić i usuwać. Rosną uzasadnione aspiracje naszego narodu, a przecież wciąż jeszcze odrabiamy wiekowe zapóźnienia i straszliwe wojenne straty.

Musimy więc, jako naród, jako społeczeństwo, zdobyć się na wyższą sprawność we wszelkich poczynaniach, działać bardzo gospodarnie i skutecznie.

Nie ma innej drogi jak praca i tylko praca — coraz lepsza, wydajniejsza, mądrzej zorganizowana. Tę oczywistą prawdę dobrze rozumie nasz naród. Z całego serca dziękuję Wam, drodzy rodacy, za wszystko, co w mijającym roku daliście Ojczyźnie.

DRODZY PRZYJACIELE!

Naród nasz wie szczególnie dobrze, co znaczą słowa — pokój i wolność, jaką wartość mają dla człowieka — prawo do pokojowego życia, do pracy, do wszechstronnego rozwoju, do demokracji i sprawiedliwości. Rok miniony utrwalił tendencje do pokojowej współpracy i odprężenia między narodami, przybliżył urzeczywistnienie zasad przyjętych w Helsinkach. Był to dla naszego kraju rok wielu ważnych wizyt i rozmów na najwyższym szczeblu. Polska wnosi godny wkład w dzieło budowy trwałego pokoju. Umacniamy jedność, i zacieśniamy współpracę z bratnimi krajami socjalistycznymi. Rozwijamy wzajemnie korzystne stosunki gospodarcze, utrzymujemy kontakty z licznymi krajami na całym świecie. Na forum międzynarodowym prowadzimy aktywną działalność na rzecz odprężenia i przyjaznej współpracy. Polityka ta dobrze służy interesom naszego kraju, umacnia autorytet i pozycję Polski w świecie.

U progu Nowego Roku, który — wierzę głęboko — będzie także rokiem pokoju zwracamy się z najlepszymi pozdrowieniami ku naszym najbliższym przyjaciołom i sojusznikom. Obchodziliśmy niedawno wespół z bratnim narodem radzieckim, z całą postępową ludzkością 60 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Życzymy gorąco ludziom radzieckim dalszych wielkich osiągnięć na drodze budownictwa komunistycznego. Ślemy gorące pozdrowienia narodom całej wspólnoty socjalistycznej.

W życzeniach pokoju i pomyślności łączymy się dziś ze wszystkimi narodami świata.

DRODZY TOWARZYSZE I OBYWATELE!

U progu Nowego Roku zwracam się z gorącymi, najserdeczniejszymi życzeniami noworocznymi do polskiej klasy robotniczej, do górników i hutników, metalowców i stoczniowców, włókniarzy i budowlanych, do ludzi polskiej pracowitej wsi, do inżynierów, uczonych, twórców kultury, nauczycieli, do całej polskiej inteligencji. Słowa najwyższego szacunku kieruję ku polskim kobietom, żonom i matkom, których codzienna zapobiegliwość i miłość daje szczęście i ciepło naszym domom. Niechaj wszystkie polskie rodziny pozostaną źródłem i ostoją wartości, które zawsze wyzwalały twórcze zdolności naszego narodu, dawały mu siłę w walce i pracy dla dobra Ojczyzny.

Gorące pozdrowienia przekażmy tym, którzy w tę sylwestrową noc pracują dla dobra ogółu: w hutach i zakładach przemysłowych, w portach, na drogach i kolejach naszego kraju; pracownikom służby zdrowia, służb komunalnych, energetyki i łączności. Pozdrówmy pełniących obronną służbę żołnierzy Wojska Polskiego, a także strzegących ładu i porządku pracowników Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Pozdrówmy tych, którzy dziś z dala od Ojczyzny w innych krajach i na innych lądach, morzach i oceanach sercem i myślą są razem z nami.

Pozdrowienia i życzenia kieruję do członków i kandydatów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, do członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, wszystkich działaczy Frontu Jedności Narodu.

Zwracam się ku milionom Polaków rozsianych po całym świecie. Złóżmy im wszyscy najlepsze życzenia płynące z poczucia patriotycznej jedności naszej wielkiej polskiej rodziny

POLKI I POLACY!
DRODZY PRZYJACIELE!

Za kilka godzin powitamy nowy 1978 rok. Rok naszych wspólnych zadań, nadziei, oczekiwań. Rozejrzyjmy się wokół — ileż rąk sprawnych i światłych umysłów, ileż serc i zapału, ileż pomysłów i twórczych inicjatyw. Wierzę głęboko, że osiągniemy nasze narodowe cele i dążenia, jeśli potrafimy ten wielki potencjał wykorzystać, jeśli umocnimy to, co jest wartością najwyższą — patriotyczną jedność wszystkich Polaków w służbie Ojczyzny.

Życzę Wam, drodzy rodacy, spełnienia nadziei i oczekiwań związanych z Nowym Rokiem. Życzę wszystkiego najlepszego Wam, Waszym najbliższym, Waszym domom i rodzinom.

Z TRADYCJI ROBOTNICZYCH BIBLIOTEKARSTWA ŁÓDZKIEGO

PROPAGATORZY IDEI WIELKIEGO PROLETARIATU

W końcu XIX wieku Łódź pod względem kulturalno-oświatowym była najbardziej zacofana z wielkich miast ówczesnego imperium rosyjskiego. Ponad 60 proc. ludności stanowili analfabeci. Na szkoły ludowe przeznaczano 8 kop. na osobę w skali roku (w Warszawie wydatkowano na ten cel 24 kopiejki, w Petersburgu 70 kop.). Teatr wiódł anemiczny żywot, działały dwa towarzystwa śpiewacze oraz kilka chórów kościelnych. Nie było bibliotek publicznej. Wąskiemu gronu czytelników książek dostarczały prywatne wypożyczalnie, zaopatrzone głównie w powieści i romanse.

W tym największym ośrodku przemysłowym Królestwa Polskiego, skupiającym 40 proc. robotników włókienniczych i dającym tegoż rzędu produkcję życie podporządkowane było pomnażaniu kapitałów. Jak mawiali współcześni: „Kto nie ma w Łodzi 100 rubli jeszcze nie jest człowiekiem, kto ma — przestał nim być".

Łódź była także forum wszystkich możliwych etapów i form walki robotników z fabrykantami. Stosowano bierny opór, składano protesty i petycje, organizowano pierwsze „zmowy", były bunty czeladników, oblegano ratusz, miały miejsce ruch burzenia maszyn strajki ekonomiczne. Do czasu powstania partii robotniczej brak było ośrodka programującego i koordynującego walkę klasową robotników łódzkich.

Jest sprawą oczywistą, że tak poważny ośrodek przemysłowy i wielkie skupisko proletariatu stało się przedmiotem zainteresowań już pierwszych działaczy socjalistycznych. Akcję zakładania kółek socjalistycznych w końcu lat 70-tych XIX w. rozszerzono na teren Łodzi. Wraz z powstaniem partii „Proletariat" podjęto pionierską pracę organizacyjną i agitacyjną.

Dzieje Wielkiego Proletariatu były przedmiotem wielu studiów i prac. Mniej znana jest działalność oświatowa tej partii, która przy niskim stanie wiedzy ogólnej robotników była nieodzownym warunkiem prowadzenia skutecznej akcji propagandowej. Biblioteki dostarczając literatury agitatorom i działaczom odgrywały w pracy ideowej rolę niepoślednią. Działacze partii „Proletariat" i sam Waryński od początku swej działalności, akcentowali potrzebę szerzenia oświaty, doceniali rolę bibliotek.

Już w projekcie „Programu socjalrewolucyjnych kół" zagarniętym przez policję krakowską 9 lutego 1879 r. podczas rewizji u Ludwika Waryńskiego postulowano zakładanie bibliotek przy kółkach socjalistycznych. W paragrafie 4 tego dokumentu napisano: „Każde koło ma swego organizatora, kasjera, bibliotekarza i inne stanowiska za konieczne przez stowarzyszenie uznane".

Biblioteki-składnice złożone głównie z wydawnictw nielegalnych miały charakter konspiracyjny. Większość z nich mieściła się na terenie Warszawy, zmieniając wielokrotnie swoją lokalizację. Kolportażem zajmowali się wytypowani bibliotekarze i działacze.

Książki znaczono napisem „Agentura Książkowa Proletariat" a następnie „Biblioteka Proletariatu".

Na terenie Łodzi nie było biblioteki-składnicy. Wiadomo natomiast, iż w drugiej połowie lat 80-tych XIX wieku docierały tu książki z Warszawy.

W roku 1885 wykryto w Łodzi, Zgierzu i Tomaszowie organizacje partii „Proletariat". Przeciw działaczom toczy się dochodzenie. Jak wynika z doniesień prokuratora Warszawskiej Izby Sądowej J. Turaua kolportażem książek na teren Łodzi, Zgierza i Tomaszowa zajmowali się tkacze: Franciszek Cobel (ps. „Kozak", „Tatarski"), Stanisław Budzyński (ps. „Doktor") oraz stolarze Wojciech Sławiński i Andrzej Kaczmarek.

Czołowym działaczem był Cobel tak charakteryzowany przez Turaua: „...Na podstawie uzyskanych danych ustalono bezspornie, że Franciszek Cobel był jednym z najbardziej czynnych uczestników socjalrewolucyjnej partii „Proletariat", pochodzących z klasy rzemieślniczej. Był jednym z najbardziej przejętych ideą socjalno-rewolucyjną i ze szczególną wytrwałością i niezmordowaną energią rozpowszechniał ją w swoim środowisku w Tomaszowie, Zgierzu i Łodzi."

Turau pisze dalej: „Co się tyczy propagandy socjalno-rewolucyjnej to prowadzono ją za pomocą kolportażu wydawnictw, żywego słowa na zebraniach. Rozdawano przeważnie broszury i odezwy odbite w drukarni partii „Proletariat" oraz niektóre wydawnictwa genewskie („Walka klas", „Ignacy Hryniewiecki", „Manifest do pracujących na roli" i inne) a także jakieś niemieckie książki rewolucyjne. Czytano książki rewolucyjne, przeważnie na zebraniach, organizowanych dla większego bezpieczeństwa w lasach..."

Literatura socjalistyczna była kolportowana i czytana. Aby dotrzeć z nią szerzej — niepiśmiennym czytano głośno na tajnych zebraniach. Wojciech Sławiński wędrował po osadach fabrycznych regionu łódzkiego i wygłaszał „nauki" starając się w nich przez swoistą, ludową i nieco mistyczną interpretację przybliżyć odbiorcom idee socjalistyczne.

Kolportowano rewolucyjne pisma rosyjskie: „Narodna Wola", „Listok Narodnej Woli" a także socjalrewolucyjne gazety polskie: „Proletariat", „Przedświt", „Robotnik", cały szereg broszur w języku polskim, rosyjskim, niemieckim — między innymi Manifest Komunistyczny, odezwy „Do robotników polskich" oraz „Do robotników Łodzi i okolicy", zbiory wierszy więźniów rosyjskich i polskich.

W tym też czasie (rok 1884) odbito w Łodzi „Ostrzeżenie dla fabrykantów od Komitetu Robotniczego Miasta Łodzi" a w Zgierzu — „Ostrzeżenie dla fabrykantów od Komitetu Robotniczego Miasta Zgierza".

Działalność propagatorska i kolporterska emisariuszy Wielkiego Proletariatu znajdowała rezonans społeczny. W dokumentach policyjnych zwraca się uwagę, że „w ośrodkach fabrycznych Kraju Nadwiślańskiego w Łodzi, Zgierzu, Tomaszowie i innych miastach o przewadze ludności fabrycznej, robotniczej idee rewolucyjne znajdowały najbardziej chłonną glebę."

Władze carskie i na łódzkim terenie z największą bezwzględnością tępiły proletariatczyków.

W lutym 1888 roku zapadł w Petersburgu wyrok w sprawie obwinionych członków organizacji „Proletariat" w Łodzi i Zgierzu. Minister sprawiedliwości przekazał go do wykonania Warszawskiej Izbie Sądowej. Oto jego fragmenty: „... po najpoddańszym moim sprawozdaniu o okolicznościach ustalonych w wyżej wymienionym dochodzeniu Jego Cesarska Mość w dniu 10 (22) lutego 1888 roku raczył wydać Rozkaz Najwyższy, aby sprawę niniejszą rozstrzygnąć w trybie administracyjnym jak następuje:

Obwinionych: Franciszka Cobla i Wojciecha Sławińskiego zesłać na pobyt pod dozorem policji do najbardziej oddalonych miejscowości Syberii Wschodniej, pierwszego — na 10 lat a drugiego — na lat 8; zakazać obwinionym po odbyciu kary przebywania na obszarze generał-gubernatorstwa warszawskiego i w miejscowościach podlegających wzmocnionej ochronie".

Stanisława Budzyńskiego skazano na 5 lat zesłania na Syberię. Dochodzenie w stosunku do Andrzeja Kaczmarka umorzono „ze względu na śmierć".

Pierwsi kolporterzy literatury socjalistycznej i propagatorzy idei Wielkiego Proletariatu wespół ze swymi towarzyszami z organizacji łódzkiej i zgierskiej ponieśli surowe kary z rąk caratu. Głoszone przez nich idee owocowały w działalności następnych pokoleń działaczy robotniczych.

cdn.

BARBARA LIS

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1977".

Tadeusz Chróścielewski . . . . . .
Kazimierz Dębski . . . . . .
Wojciech Drygas . . . . . .
Teresa May–Czyżowska . . . . . .
Waldemar Podgórski . . . . . .
Włodzimierz Saar . . . . . .
Jerzy Samujiło . . . . . .
Lech Sosnowski . . . . . .
Paweł Udorowiecki . . . . . .
Barbara Wójcicka: . . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Eugeniusz Iwanicki

książka, to rzecz poważna

Foto: Archiwum

Instytucja ta nierozerwalnie zrosła się z najnowszą historią miasta: trudno sobie wyobrazić Łódź bez jej Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Każdy nauczyciel z wielkiej miejskiej aglomeracji, a także z województw ościennych, niejednokrotnie pokonywał kamienne schody docierając do jej wypożyczalni i czytelni, wielu naukowców korzysta z unikalnych wręcz zbiorów zgromadzonych na ciasno ustawionych regałach, tysiące studentów szpera w katalogach szukając potrzebnych książek...

W zabytkowym pałacyku wybudowanym ok. 1897 r. i będącym niegdyś własnością właściciela odlewni żelaza i fabryki maszyn Ewalda Kerna, w stylowych komnatach z pięknymi majolikowymi piecami, z witrażami, świetlikami w dachu — ustawiono potężne, wysokie i solidne regały, wydzielono miejsce dla katalogów, zorganizowano mini-czytelnię, utworzono pracownie... Fasada budynku znajdującego się przy ul. Piotrkowskiej 179 od lat kojarzy się wszystkim z książką, z tą bardzo starą, oprawioną w safian lub skórę i z tą w zwyczajnej, tekturowej oprawie sygnowanych literami PBW.

NIECO HISTORII

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało w roku 1925 w Łodzi Państwową Centralną Bibliotekę Pedagogiczną. Pierwszym dyrektorem został naczelnik II Wydziału Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego, **Tadeusz Czapczyński**. Utrzymywała się biblioteka częściowo z dotacji w. w ministerstwa oraz ze składek miesięcznych nauczycielstwa. Początkowo mieściła się przy ul. Andrzeja 7, potem na Piotrkowskiej 104, na Żeromskiego 115, znowu na Piotrkowskiej 86. Zalążkiem księgozbioru były dary. Najwartościowszym był wieczysty depozyt Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Wraz ze swoją biblioteką przekazało ono część cennych zbiorów biblioteki Feliksa Wężyka z Mroczenia, prawnika i historyka żyjącego na przełomie XVIII — XIX w. Zgromadzona przez niego biblioteka liczyła ponad 10 tys. woluminów z dziedziny historii, prawa, literatury pięknej z pierwszej połowy XIX w., a także pewna ilość czasopism polskich z tego samego okresu. Najcenniejsze były jednak inkunabuła, liczne druki polskie i obce z XVI — — XVIII w., oraz 30 rękopisów. Spadkobiercy Feliksa Wężyka obeszli się z jego zbiorami dość niefrasobliwie: po prostu sprzedano je, co miało ten skutek, że bezcenne zbiory zostały rozproszone, a część z nich zginęła bezpowrotnie. Po wielu latach niektóre z nich znalazły się jednak w Miejskim Muzeum im. J. K. Bartoszewiczów w Łodzi, a część weszła w skład biblioteki Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Dopiero połączenie się Towarzystwa ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego oraz powołanie Państwowej Centralnej Biblioteki Pedagogicznej stało się momentem, w którym zbiory z Mroczenia zostały wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

W ciągu 14 lat zasoby biblioteki stale były powiększane i w przededniu wybuchu II wojny światowej liczyły 20 tys. woluminów.

Kierownictwo biblioteki, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie zagrażało zgromadzonym tu zbiorom ze strony Niemców, podjęło bohaterską próbę ich ocalenia. Wydawało się, że wypożyczając je nauczycielom stwarza się im szansę przetrwania. Niestety, okupant dążąc do zagłady polskiej inteligencji, masowo wysiedlał nauczycieli z Łodzi, część z nich trafiła do obozów zagłady. W ten sposób uległo zniszczeniu około 20 proc. najcenniejszych dzieł o treści pedagogicznej. Pozostałe książki umieszczono w tzw. Stadtbibliothekach (książki w języku niemieckim i innych językach obcych), resztę zmagazynowano w niedokończonym gmachu Biblioteki Publicznej przy ul. Gdańskiej wraz ze zbiorami Wolnej Wszechnicy, a także z księgozbiorem Miejskiej Biblioteki Publicznej. Oczywiście, co cenniejsze starodruki zostały przez Niemców zrabowane. Ocalało zaledwie 86 z XVI — XVIII w., pewna ilość druków z XIX w. oraz kilka roczników starych czasopism.

PO WOJNIE

W lutym 1945 r. rozpoczęło się, pod kierownictwem dyr. **Jana Augustyniaka**, porządkowanie zbiorów. Była to praca trudna, niemal benedyktyńska, ale bardzo potrzebna. Doliczono się zaledwie 13 tys. dzieł i 2 tys. oprawnych czasopism. 14 czerwca 1945 r., nastąpiło uroczyste otwarcie biblioteki w gmachu Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego przy ul. Jaracza 11. Były to powtórne narodziny biblioteki pedagogicznej w naszym mieście.

W sześciu salach (w największej urządzono czytelnię naukową z czterdziestoma miejscami i podręcznym księgozbiorem pedagogicznym przeznaczonym dla nauczycielstwa i kadry naukowej Uniwersytetu, Politechniki, instytucji naukowych i oświatowych, a także studentów zakładów kształcenia nauczycieli), w pozostałych ustawiono regały. Był to trudny i pionierski okres, jednakże biblioteka od razu stała się jednym z niezwykle ważnych ogniw w systemie powojennej oświaty. W ciągu roku odwiedziło czytelnię 14 tys. czytelników a wypożyczalnia notowała 4,5 tys. wypożyczeń.

Stopniowo, wraz ze wzrostem księgozbioru, rozszerzono teren objęty wypożyczaniem na obszar województwa łódzkiego. W 1951 r. Ministerstwo Oświaty nadało statut bibliotekom pedagogicznym: od tej chwili nosza one nazwę Pedagogiczne Biblioteki Wojewódzkie i są samodzielnymi jednostkami budżetowymi i organizacyjnymi. W tymże roku na nową siedzibę PBW oddano pałacyk przy ul. Piotrkowskiej 179, w którym biblioteka mieści się po dziś dzień.

DZIEŃ DZISIEJSZY

PBW zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz zaleceniami Kuratorium w Łodzi w swojej działalności koncentruje się na organizowaniu i niesieniu pomocy nauczycielom, którzy podjęli studia na wyższych uczelniach.

— Gromadzenie zbiorów bibliotecznych odbywa się z uwzględnieniem w pierwszej kolejności potrzeb studiujących — mówi dyrektor mgr **Mieczysław Klimek**, zasłużony pedagog, były inspektor szkolny w powiecie łaskim, wicekurator byłego województwa łódzkiego. — W tym celu zbierane są i rejestrowane a następnie załatwiane wszystkie wnioski i postulaty zgłaszane przez nauczycieli uczących się zarówno w odniesieniu do sposobu udostępniania jak i gromadzenia zbiorów. Wnioski i uwagi w tym zakresie zbierane są również w instytucjach bezpośrednio zajmujących się studiami: Uniwersytet Łódzki, Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych i inne. Biblioteka korzysta ze wszystkich dostępnych źródeł informujących o wprowadzanych i będących w sprzedaży na rynku księgarskim wydawnictwach. Dział gromadzenia i komisja doboru śledzą ponadto wszystkie ukazujące się notatki bibliograficzne informujące o wydawnictwach wyższych uczelni, instytutów resortowych i in., rozprowadzanych poza rynkiem wydawniczym i w drodze bezpośrednich zamówień zakupuje wszystkie te pozycje, które mogą być potrzebne nauczycielom studiującym.

Prowadzimy także zakupy w księgarniach antykwarycznych. Dotyczy to głównie pozycji z lat ubiegłych aktualnie poszukiwanych przez studiujących, a których to pozycji brak w bibliotece bądź znajduje się zbyt mała ich ilość w stosunku do potrzeb.

Zaspokajamy także potrzeby uczących się w drodze wypożyczeń międzybibliotecznych. Wszystkie zakupione nowości poszukiwane przez nauczycieli studiujących opracowywane są odręcznie poza kolejnością i natychmiast udostępniane. Mogę zapewnić, że praktycznie jesteśmy gotowi służyć każdym podręcznikiem potrzebnym do pogłębienia wiedzy pedagogicznej.

Aby uzmysłowić sobie warunki, w jakich pracuje PBW wystarczy porównać dwie cyfry: na ogólnej powierzchni 670 m kw. znajduje się księgozbiór składający się z 167 tys. woluminów, książek i czasopism. Dodać do tego trzeba kilka działów-pracowni, czytelnię, wypożyczalnię, pomieszczenia administracyjne, a okaże się, że na dobrą sprawę trudno tu zastosować jakiekolwiek normy przewidziane dla tego typu placówek. Księgozbiór rośnie co roku przybywa setki książek i czasopism. Istniejące regały przestały wystarczać, wysokość pomieszczeń sprawiła, że zaistniała możliwość ich nadbudowania. Ale to wcale nie rozładowało ciasnoty ani nie usprawniło pracy. Pracownicy muszą wchodzić na wysokie drabiny (myślę, że przepisy bhp nie przewidują takiej ekwilibrystyki), wydłużył się czas oczekiwania na książkę. Kto choć raz przeciskał się wąskimi tunelami powstałymi z ciasno zsuniętych regałów, ten w pełni oceni trud i wysiłek ludzi zatrudnionych w wypożyczalni.

Ważnym działem PBW jest dział reprografii, gromadzący taśmy magnetofonowe i fotokopie. Aktualnie na stanie tego działu znajdują się taśmy popularnego NURT-u z zakresu ekonomii, filozofii, pedagogiki i psychologii, po pięć kompletów z każdego przedmiotu. Istotną część działu stanowią płyty i taśmy do nauki języków obcych (także po kilka kompletów): angielskiego, esperanto, francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, rosyjskiego, szwedzkiego i łaciny.

Wydział zajmujący niejako kluczową pozycję, to dział informacyjno-bibliograficzny, którym kieruje **Maria Cygańska** pracująca tu od 1954 r. Właściwie każdy, kto chce korzystać z księgozbioru, rozpoczyna od usług tego działu. Otrzymane tu informacje są drogowskazem w gąszczu zagadnień, tematów, lektur. Pomaga się tu często w rozstrzyganiu wątpliwości merytorycznych związanych z przygotowywanymi przez studiującego pracami dyplomowymi czy seminaryjnymi. W oparciu o właściwą lekturę pomaga się ustalić kolejność lektur, wyjaśnić zakres pojęć itp., a także wprowadza się zasady prawidłowego sporządzania bibliografii i korzystania z nich. Dotyczy to zwłaszcza nauczycieli przedszkoli i klas początkowych.

CI, KTÓRZY PRZYSZLI TU PIERWSI...

Aktualnie PBW zatrudnia 23 osoby personelu pedagogicznego posiadającego wykształcenie wyższe. Cztery osoby mają staż w tym zawodzie ponad dwudziestoletni. Wspomniana Maria Cygańska kierująca wydziałem informacyjno-bibliograficznym tak mówi o swojej pracy:

— Z książką związałam się od 1951 r. stawiając pierwsze kroki w Bibliotece Uniwersyteckiej, a po paru latach trafiłam tu. Z perspektywy tego czasu, mogę powiedzieć, że nie żałuję tych lat. Praca z książką to wielka rzecz. Jestem bogatsza wewnętrznie, ciągle się uczę, opanowuję nowe pojęcia, terminy, które rodzą się z dnia na dzień. Ale największa satysfakcja, to praca z ludźmi. Wiedza tak szybko kroczy naprzód, że przeciętny człowiek nie tylko, że nie może jej opanować, lecz nie ma możliwości by śledzić te zmiany. I tu zaczyna się moja rola. Nauczyciel, który przeszedł przez naszą bibliotekę, w zakresie swojej wiedzy ma coś uporządkowane, usystematyzowane. Zgłaszają się do nas bez określonych propozycji, szukają w ciemno, i dopiero tu otrzymują wiedzę uporządkowaną, z której będą korzystać w swojej niełatwej pracy. Kto bodaj raz, tak jak ja, rozpoczął romans z książką, ten nigdy nie wyzwoli się od jej magicznego wpływu.

Kierownik wydziału opracowywania zbiorów **Maria Dojlitko** także od przeszło dwudziestu lat jest związana z PBW. Książka, zanim trafi do rąk czytelnika, zostaje poddana drobiazgowemu opracowaniu. A więc: otrzymuje numer inwentarza, kartę katalogową z dokładnym opisem katalogowym, w końcu przydziela się ją do odpowiedniej dziedziny wiedzy. W naszych krajowych opracowaniach podział ten przedstawia się następująco: Zagadnienia ogólne — Filozofia, psychologia, logika. — Religia. — Nauki społeczne, nauczanie i wychowanie. — Nauki matematyczno-przyrodnicze. — Medycyna, nauki techniczne, rolnictwo. — Sztuka i architektura. — Lingwistyka, literatura piękna. — Geografia, historia, życiorysy. — W gąszczu tych podziałów, wewnątrz których są podziały szczegółowe, łatwo się zagubić. Wydawałoby się, że praca to nieciekawa, typowo urzędnicza.

— Każda książka, to niezbadany świat, do którego należy wejść. Jeśli tego się nie uczyni — mówi Maria Dojlitko — pozostajemy biedniejsi o to jedno, kolejne poznanie.

Oprócz w.w. pracownic ze stażem ponad dwudziestoletnim legitymują się jeszcze **Halina Starkiewicz** oraz **Lucja Janowska** zasłużone rzeczniczki popularyzacji wiedzy pedagogicznej.

Wspomniałem wyżej, że pracownicy biblioteki posiadają wykształcenie wyższe. Dodam jedynie, że część z nich pogłębia swoją wiedzę w zakresie bibliotekoznawstwa uczęszczając na studia podyplomowe.

PRACA Z NAUCZYCIELAMI

— Pełnimy podstawową rolę w procesie dokształcania i kształcenia nauczycieli i wychowawców — mówi dyr. Mieczysław Klimek — Szczególna rola przypada naszej bibliotece w kształceniu nauczycieli w związku z rozpoczynającą się reformą systemu oświaty i wychowania.

Jest to zadanie niełatwe i długofalowe. Przez pomieszczenia biblioteki przewijają się setki ludzi pragnących otrzymać potrzebne książki. Czas nagli, tempo rośnie, rok bieżący będzie rokiem przełomowym w organizacji naszej powszechnej oświaty. Stąd i PBW pracuje na zwiększonych obrotach. Dlatego tak dużą wagę przywiązuje się tu do poradnictwa. Na każde konkretne zamówienie PBW ma obowiązek przygotować wykaz lektur lub zestaw bibliograficzny pozycji traktujących o jakimś określonym temacie. W r. ub. udzielono 301 porad indywidualnych, a informacji bibliotecznych i katalogowych przypada około 10 dziennie. Opracowano także trzy bibliografie dla uczestników kursów przygotowawczych do studiów wyższych.

Praca z nauczycielami ma tu swoje tradycje. Studiującym wysyłane są materiały biblioteczne nawet na zamówienia pocztowe i telefoniczne. W r. ub. na 560 tego typu zamówień wysłano 1.493 książki. Listów do dyrekcji przychodzi sporo, korespondenci zwracają się nieraz o udostępnienie takich książek, których nie mogli znaleźć w innych bibliotekach specjalistycznych. Oczywiście pierwszeństwo korzystania ze zbiorów posiadają nauczyciele studiujący, dla nich PBW „zapaliła na stałe zielone światło". Dla ich potrzeb organizuje się obecnie specjalny dział — księgozbiór podręczny, a także aktualizuje i uzupełnia obszerną, liczącą ponad 600 haseł, kartotekę zagadnieniową.

Nie mniej ważnym działem pracy biblioteki pozostaje systematyczny instruktaż dla bibliotekarzy szkolnych w zakresie gromadzenia i udostępniania księgozbioru wchodzącego do działów pedagogicznych tych bibliotek. Zostało to pomyślane jako pomoc dla tych wszystkich pedagogów, którzy aktualnie uzupełniają swoje kwalifikacje zawodowe.

PERSPEKTYWY NA DZISIAJ

Wspomniałem już o trudnych warunkach lokalowych, z jakimi boryka się biblioteka, mówiłem o sprawie bezpieczeństwa i higieny pracy. Wypada teraz powiedzieć o samym umiejscowieniu tej placówki w zabytkowym pałacyku, pozostającym pod opieką konserwatora zabytków. Otóż biblioteka, pomimo jej niewątpliwych zasług nie jest placówką spełniającą wszystkie warunki jakim powinna odpowiadać instytucja pracująca w tych zabytkowych murach. Pomimo troski i konserwacji stojące regały nie tylko że kolidują z pięknym wnętrzem ale chcąc nie chcąc przyczyniają się do jego nie zamierzonej dewastacji. Pałacyk, który mógłby z powodzeniem stać się jednym z ciekawszych obiektów dawnej architektury, przez wiele lat był niedostępny dla szerszego ogółu.

Rok bieżący stanie się prawdopodobnie rokiem przełomowym: władze miasta planują bowiem przeniesienie Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w bardziej funkcjonalne dla niej miejsce, gdzie zostanie zapewniony właściwy, nie skrępowany ciasną powierzchnią, rozwój. Myślę, że będzie to krok słuszny i celowy.

RAFAŁ ORLEWSKI

INWOKACJA DO SYNA

Któryś się znalazł w tych trzydziestu
latach i przeżył ze mną trzęsienie
świadomości, choć to nie ja
nosiłem cię pod sercem, ale
nosi cię zawsze póki bije,
moje serce — i tak już będzie.

Bo dalej cię przeniosą słowa
serdeczne tyle, ile boli
świadomość po sekundach wstrząsu —
otwarta jeszcze w czas warczący,
o którym podręczniki mówią
sucho jak ziemia krwią zlepiona:
ponieważ jest to już historia
czyli czytanie epitafiów.

Któryś się zjawił w moim drugim
czasie zmywanym z nocnej barwy
i odnawianym pierwszym złotem
żyta i świeżą brzóz czerwienią:
krzyk niesłyszalny niosłeś echem,
co zbliżał do mnie strugę słońca.

O, gdybyś wtedy umiał w krzyk swój
zmienić dni moich kalendarze,
gdybyś rozpoznał w wielkim dziele
przeorywania stęchłych czasów
przesłane co nie wypalone,
gdybyś — nie byłoby w twym życiu
za dużo znaków z moim piętnem.

Co powiesz, kiedy do mnie zima
przyjedzie, wsiadłszy nazbyt wcześnie
na gapę w nie—mój prom kosmiczny
(wiem: tylko stamtąd przyjdzie zima),
a tobie wcześniej, wręcz znienacka
przypadnie pierwszy raz nurkować
w lato tak jeszcze niedojrzałe?

Co powiem ja o latach, z których
wyszedłem prosto w swoją jesień,
niosąc w plecaku ból i miłość,
a w ręku listki poematu
opadłe dawno i skruszałe?

Cokolwiek powiem i ty powiesz,
o co się zapytamy wzajem,
nikt już nie zdoła nam odebrać
dni najgorętszych,
dni najczulszych,
dni ocienionych łzą w powiece,
dni zimnych jak umarła miłość,
dni małych, co zakwitły chwilą,
dni wielkich jak ojczyste niebo.

A teraz podejdź, bym twe ramię
po trzykroć ścisnął przed odejściem
z tych lat w kuszące i nieznane;
abym wyprawić mógł cię w podróż
z chlebem i solą,
z krwią i sercem,
z wszystkim, co we mnie, a już w tobie.

Tylko mi, proszę, jedno zostaw —
w zmierzchu jesieni twarz człowieka.

1974

PIOTR PERZ

★ ☆ ★

Trzeba wreszcie odpocząć
Wyjść na ulicę i słuchać
jak śliskie podwórka ulatują
w przestrzeń Wielkiej Improwizacji
Jak miasto wygrywa
toccatę samobójczą
Trzeba odpocząć
tam gdzie zapalono znicz
nad martwym ptakiem
Który nie wzleci już wyżej
niż kraniec jego wyobraźni
Martwej wyobraźni
Słychać równy krok
plutonu egzekucyjnego
Ziemia krwawi
i miasto krwawi
Gasną lampy
Świt

ROMAN GORZELSKI

UCIECZKA

mam tylko życie strach rozrasta się jak trawa
i rozum zaczyna parować pod słońcem które podpala
ostrowy i kwiaty na martwym jeziorze
niepotrzebna była ta demonstracja dlatego teraz
biegnę
w drżącym promieniu jak zając ja żółw
cóż mnie obchodzi smutek po mnie
hodowałem kiedyś gołębie i koty
żyły w przyjaźni do czasu — posadziłem drzewo
i ono też rosło dla mnie do określonego dnia
już staję się rzeczą biegiem wiecznym i czuję
jak liże mnie cień ptaka w dolinie dnia
zawisł nad moją głową w tej suchej klęsce
obejmują mnie gałęzie strachu jak żelazo
popłoch jeszcze nagli do ucieczki
ale coraz dalej jest granica buntu
coraz ciaśniej oplata mnie błona spokoju
— jestem ostygłą gwiazdą

Karol Obidniak

RZYMIANKA

Nazywał ją Rzymianką, chociaż prócz imienia nic ją z tym miastem nie łączyło... Ach, oczy, tak oczy miała ciemne, ogromne, pompejańskie, jakby zdjęte z fresku, z antycznego malowidła. Może dlatego nie umiał określić ich koloru. Na pewno ciemne. Słuchając, przesłaniała lekko powiekami źrenice, ale nie szukała za nimi schronienia, przeciwnie, sprawiała wrażenie, jak gdyby otwierała się do środka, zapraszając na intymną wymianę uczuć. Kąciki ust, unosząc się ku górze, rozchylały kokieteryjnie wargi. Tak zasłuchana wyglądała jak słońce na dziecięcych obrazkach. To wszystko, co naprawdę o niej wiedział. Nic poza tym. Czasami, kiedy o niej myślał, zdawało mu się, że rozumie, dlaczego malarze, dobywając parę szczegółów z modela, zaniedbują inne, czynią obraz bardziej czytelny, zmuszają patrzącego do obejrzenia tylko tego, co, ich zdaniem, jest najważniejsze. Chciał poznać ją lepiej, ale wstydził się swych pragnień, śmieszności. Stał roztrzęsiony. Przeszedł się po starokawalerskim pokoju, oblepionym dziesiątkami, setkami zdjęć — od podłogi aż po sufit. Chaotycznie — bez ładu i składu. Wpatrywał się w nie, poznawał twarze i nagle, po raz pierwszy, zdał sobie sprawę, że nie kojarzy ich już z nazwiskami. A przecież oglądał je co dzień, były tu z nim w tych czterech ścianach, mieszkali razem od lat. Co się stało, że imiona bliskich mu osób wymknęły się, jakby ukradkiem, z pamięci. Z największym trudem udało mu się kilka z nich dopasować ponownie do oglądanych postaci. A reszta? Ta ogromna reszta, jak konary drzew, odarte z liści, bezimienne, wyrwane nie wiadomo skąd, z jakiego odłamane drzewa, ginęły unoszone falą powodzi w przeszłość.

Przeszłość, co się z nią stało? Zesztywniała na zdjęciach, bez ruchu, w dziwacznych pozach. Kiedyś zapewne śmiesznych, teraz — rażących sztucznością. Jak ta przeszłość uszła ze mnie, stała się obca, myślał. Nagle zatrzymał się przed maleńkim, zakurzonym zdjęciem, przybitym zardzewiałą pluskiewką do ściany. Wyjął chusteczkę, przetarł je lekko. Podobna do Rzymianki. Pierwsza miłość, taka pierwsza, taka wspaniała, że nigdy jej nie wyznał nikomu, nawet sobie... dopiero po latach.

Co się z tobą dzieje. Mario, czy żyjesz jeszcze?

Poczuł, jak dwie wielkie łzy, niczym szklane kule, stoczyły się po policzkach, wyciśnięte z serca, gorące; zostawiły po sobie zimne ślady. Roztarł je, wymazał z twarzy i tym gestem odesłał w przeszłość już na zawsze. Stanął przy oknie. Wiatr kołysał koronami drzew, wróble ćwierkały na balkonie, dzieci bawiły się w piaskownicy, czarny pudel biegał jak oszalały po trawie, ucząc ludzi zwykłej radości życia. Powoli, w mnogości obrazów, zobaczył jej oczy.

Zbladło życie wokoło, uciekło w dal, wiatr przestał przeczesywać drzewa. Szła ku niemu powoli, przedzierając się przez coraz gęstszą mgłę, jak przez burzące się na niebie chmury. Zatrzymała się tuż przy nim, czuł ją, czuł przy sobie. Ale widział, widział tylko jej oczy, długie od zasłuchania, zapraszające. Wyciągnął ręce, opuszki palców paliły go jak poparzone. Gdyby mógł jej dotknąć teraz, wszystko byłoby jasne, bez niepotrzebnych słów. Przyglądał się jej teraz bezczelnie. Odmierzał, sprawdzał, porównywał. Czy była zgrabna? Nie miał odwagi jej rozebrać. Poruszała się wdzięcznie. Głos miała jakby zaprawiony drobiną rzewnego liryzmu.

Wstydził się, wstydził się tego, co ta dziewczyna może w nim obudzić, a może już obudziła. Bał się jej. I pragnął. Gdzieś, na korytarzu, skrzypnęły drzwi. Rozleciały się obrazy, jak domek z kart. Rzeczywistość ożyła. Pies biegał przed domem po trawniku, dzieci i drzewa wróciły na swoje miejsce. Tylko on, jakby pozostał tam, ni to w przeszłości, ni to w jutrze. Co ja tu robię? — pytał sam siebie. — Gdzie jest moje miejsce? Ciężko usiadł w fotelu, zaskrzypiały wysłużone sprężyny. Odchylił głęboko głowę wpatrzony w sufit jak w biały ekran, w oczekiwaniu niecierpliwym na dalszy ciąg przerwanego obrazu.

Chwilę trwało, nim ujrzał ją znowu. Jechali samochodem. Mówili o niczym. Taką rozmowę najtrudniej spamiętać. Słowa toczą się jak strumyk, szemrzą, ocierają się o siebie, ale co znaczą te miłe nic nie znaczące szmery, te kapryśne, zwiewne nic. Nagle przyhamował. Wóz skręcił gwałtownie, wjechał na miedzę pomiędzy kłoszące się żyto. Zatrzymał motor. Rzymianka jakby wstrzymała oddech. Wolno, majestatycznie, jak wobec ogromnej widowni całego świata, zwróciła ku niemu głowę i patrząc prosto w oczy... Pytał teraz sam siebie, już bez tamtego skrępowania, jakie są te jej oczy? ciemne? ciemne... ale ciemne nie mogą być schronieniem słońca, obietnicy, nadziei. Patrzył w nie, śledził, jak powoli wydłużają się w oczekiwaniu, rozciągają zapraszająco. Usta bez cienia szminki, stężałe od gorąca, rozchyliły się lekko. Białe zęby błysnęły jak wydzierane z małży perły. Nachylił się, ciepło biło z jej twarzy, jak z bochenka wyjętego z pieca chleba. Wtedy szepnęła: nie tu, jutro u ciebie...

Serce załomotało gwałtownie, zbladł, włączył motor, nie oglądając się, na pamięć, wycofał samochód na szosę. W drodze powrotnej nie zamienili już ani słowa. Zdawało mu się tylko, że patrzy na niego nie odrywając oczu, jak gdyby była zakochana, zasłuchana.

Przed domem wyskoczył z samochodu, otworzył szarmancko drzwi, podał jej rękę i poczuł śmieszność, rozdzierającą śmieszność. Przeklinał to uczucie, ale nie umiał się od niego wyzwolić. Zapuszczając motor, obserwował ją ukradkiem. Szła lekko, wyrzucając nogi jakby spod ramion. Dziewczęca, nie utrudzona latami, rozczarowaniem, troską, pełna radosnej nieświadomości. Nagle odwróciła się, podniosła w górę rozwartą szeroko dłoń, i rozdzielając kolejno palce, bezgłośnie je policzyła. Znowu odwróciła się gwałtownie i biegnąc jakby po strzale startera zniknęła w klatce mrowiskowca.

Spojrzał na zegarek. Wkrótce będzie dwadzieścia cztery godziny jak się rozstali. Co robił przez ten czas? Nie spał, nie jadł, sprzątał dom, gotował się na jej przyjęcie. Ale teraz, gdzie spojrzał, dostrzegał coraz to nowe dowody chronicznego nieporządku. Pokój, który tak lubił, wydał mu się nagle obskurny, odpychający. Drażniły go zdjęcia, zblakłe od starości, poskręcane. Co to za dekoracja, która niczemu już nie służy? — pomyślał i wszedł do kuchni. Woda w czajniku kipiała. Mechanicznie przekręcił gałkę, zajrzał do łazienki. Świeże ręczniki zwisały uroczyście jak chorągwie w pochodzie. Wybiła piąta. Wolno podszedł do okna. Stanął ukryty za zasłoną, ale tak, że mógł widzieć całą ulicę aż do przystanku. W myślach przebiegał już po raz nie wiadomo który poczynione przygotowania. W kącie, w wazonie na podłodze, stał pęk z kilkudziesięciu czerwonych goździków.

Przejechały już trzy tramwaje. Przeliczał ludzi. Wielu znał z widzenia, jak to na osiedlu. Wtem wstrzymał oddech, jest! szepnął nerwowo sam do siebie. Jak ona pięknie idzie, jak pewnie, ani chwili wahania, z jaką gracją niesie te kwiaty. Raz, dwa, trzy, cztery... siedem róż. Oglądają się za nią, kobiety również. Wiatr rozwiewał jej długie, spadające na ramiona włosy. Sukienka z jedwabiu, niebieska z białymi aplikacjami, przyciskana podmuchami do ciała, zdradzając skrywała jej tajemnice. Wreszcie zobaczył ją całą. W harmonii ruchu, życia; może dlatego, że nie widział jej oczu. Zniknęła w bramie. Serce przestało mu bić. Ale pewnie biło, tylko... zadzwonił dzwonek... drugi... trzeci raz, dziesiąty... A on ani nie drgnął. Wsłuchany w ciszę, milczenie, uśmiechnięty, trwał w bezruchu, jakby wrastał w wieczność. Wyszła przed dom. Spoglądała w okno. Wokoło — bezradnie, niepewnie, jak dziecko. Szła szybciej, to wolniej, aż zniknęła w tłumie czekających na przystanku. Przed chwilą pożegnał się z Marią, pierwszą miłością, dwoma łzami, ostatnią miłość pożegnał suchymi jak lód oczyma, dla ostatniej miłości łez mu zabrakło.

Andrzej Żak

WYSPA

Jak zawsze budzi ich ekspres. Rozgarnia letnią noc.
... śniło mi się...
... a ci...?

Daleko na peronie ścicha szurgot nóg i przestaje dygotać szyba.
... niedobrze... eeee...
... wody dużo... w cholere wody...

Potem na pryczę wspina się słońce. Rudy, liżący ściany płomień zgania Patlitę. Po nim szybko zbiera się Kozioł. Tylko Mały leży jeszcze przez chwilę, porusza wargami. Smakuje świt pachnący ostro jak rozgnieciona jagoda.

Po piątej do wagonu wsadza łeb toromistrz. Zagląda i znika. Ale zaraz słychać jego śmiech i postękiwanie pompy.
... a zna pan too...?

Rytmiczne skrzypienie zagłusza jego słowa.
... i mówi tak: Chciałabym mieć dziecko! Uważasz pan...

I zaraz rechot Patlity, krótki, urywany jak czkawka.

Twarz Małego pęknięta w lustrze. Goląc się trochę gwiżdże a trochę nasłuchuje.

— Brały...
— Jili tam... same małe.

W ułamku lustra widać jak Kudyba pieczołowicie układa wędkę w kącie.

— ... takie o!, cienkie jak paluchii...
— I coo?
— Bożesz ty mój, powrzucał ja nazad!

Zardzewiały tor mozolnie pnie się na leszczynowy pagór. Z niego rozpędem wbija się w las. Obok dębiny szyny rozwidlają się i kolebiąca się na złączach drezyna wolno wjeżdża na bocznicę. Jej burty połowią czepliwe ławice ostrężyn i łopuchów. Kiedy się zatrzymuje złażą z niej nieśpiesznie i zaczynają zrzucać tłuczeń.

— Kozioł!
— Noo?

Mały drapie się w kark i... nagle rezygnuje.

— Cooo? — ponagla Kozioł. I nie doczekawszy się wzrusza ramionami. Na jednym z nich kolebie się żaglowiec. Rytm pracujących mięśni napina tatuaż. Raz za razem żaglowiec niebezpiecznie przechyla się, niemal przełamuje ale wtedy Kozioł prostuje rękę ratując jego maszty i kadłub.

Jakiś czas pracują w milczeniu. W naciekającej upałem leśnej ciszy, wysokiej i gęstej, przez którą jedynie można przebić się tęsknotą. Tak myśli Mały i niespodziewanie zaczyna tęsknić. Ta tęsknota jest jak sen albo obłok, na który wsparty o stylisko łopaty od dłuższej już chwili chłopiec się gapi.

— Mały...?
— .....

Postękując nad szuflą Kozioł zagaja rozmowę.

— To pojedziesz, czy nie...?

Nie odrywając wzroku od chmury Mały potakuje. Wałęsający się po kobaltowym niebie obłok przybiera właśnie kształt wyspy. Niewielkiej, sfalowanej łagodnymi pagórkami, ze zbielałym od słońca brzegiem, kamienistym i bezludnym.

— Jechać trzeba — świr ostro pchniętej Koziołowej szufli płoszy ptaki.

— Najlepiej przez Białystok — świr.

— Tam przezimujemy — świr, świr.

Chłopiec niechętnie odwraca głowę. Jego spojrzenie pozostaje jednak puste. Nie ma w nim bocznicy, lasu Kozioła. Jest wyspa i zbliżający się do niej okręt. Mały sam jeszcze nie wie dokładnie okręt to czy statek, żaglowiec czy motorowiec. Na razie jest to tylko punkt, mała ołowiana plamka...

Kawa ma smak żelaza, więc Kozioł wychłustuje ją w krzaki. Ze złością kopie blaszany termos i wali się obok Małego na piaszczystym, rozpalonym zboczu. Leżą tak chwilę, dwie ze zmrużonymi oczami, w które przez wysokie korony sypie się szczodrość sierpnia.

— O! Takie to poleci — wytyka nagle pięść Kozioł. — A człowiek nie! — dorzuca po chwili. Z jego łaskawie odgiętych paluchów podrywa się boża krówka. Zatacza ospały łuk tak blisko, że słychać jej bzyczenie, które rozsypuje się zaraz w szelestach i zapachach upalnej godziny.

I znowu jest wyspa. Biegnąc chłopiec z uwagą wpatruje się w daleki, płowiejący błękit. Stąd z wysokiego pagórka wyspa ma kształt porzuconej w wodzie kosy, którą nieustannie ostrzą leniwe fale przyboju.

Zbiega na dół i tam, kiedy niespodziewanie odnajduje ślady omal nie krzyczy na głos. Pochyla się nad nimi i zaciska pięści.

I wszystko jest jak sen. Sen w głębi snu. Mały czuje skurcz w gardle i zieloną gorzkość trawy. Do bólu napina przecinającą mu drogę gałąź. Stoi tak... sam nie wie jak długo. Z twarzą uwięzioną w prostokącie światła, którego refleksy zapalają igliwie u kolan klęczącej pod drzewem dziewczyny. Widzi jak padający na jej ciało ruchomy cień ogarnia wpierw ciemną, pochyloną głowę a później kontur nagiej, niedojrzałej piersi. W tym zapatrzeniu Mały boi się drgnąć, spłoszyć...

Niepotrzebnie jednak, bo gdy ich oczy spotykają się...

Kozioł zrywa się nagle i zaczyna kląć. Bluzga przekleństwami i pośpiesznie zrywa z tyłka portki. Potem dyndając gatkami ślini chude, upstrzone bąblami nogi.

Jego krzyk podnosi też chłopca. Nie rozumiejąc niczego Mały uśmiecha się. Uśmiecha coraz szerzej, aż wreszcie wybucha wysokim gardłowym rechotem. Śmieje się z balansującego Kozioła, z siebie, wyspy i morza. Z morza, którego smak w środku tego niepohamowanego śmiechu Mały czuje na wargach.

WiMBP im. J. P. w Łodzi
10840-A

saga rodu Lutosławskich

TADEUSZ GICGIER

Ryc. Janusz Szymański-Głanc

Zaraz za furtką zielony dach z gęstych konarów drzew. Przechodzę pod nim i staję nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, przed drzwiami niedużego, starego dworu. Rezydująca tu pani Maria Lutosławska-Niklewiczowa jest uprzedzona o moim przyjeździe. Prowadzi mnie przez długą sień i obszerny pokój do dużego, widnego pomieszczenia, będącego czymś w rodzaju salonu. Zaprasza, bym usiadł na kanapie. Podczas gdy pani domu szuka jakiegoś pisma, obserwuję ją ukradkiem: trudno uwierzyć, że jest w okolicach osiemdziesiątki, wprawdzie niewysoka, ale prosta jak struna, oczy czarne, bardzo jeszcze wyraziste, twarz żywa, choć poznaczona zmarszczkami.

— Proszę, niech pan sobie przejrzy, to jest ten hiszpański dziennik, w którym drukowała moja matka.

Pismo jest niewielkie, ale, jak na dziennik, zadziwiająco grube. Przypomina do złudzenia stare tygodniki, które oglądałem kiedyś w archiwach. Tym bardziej zaskakuje data: rok 1970. Pani Maria pokazuje mi nagłówek: „Hace mediosiglo", i tłumaczy: „Sprzed pół wieku", „Desde Polonia" — „Z Polski", Varsovia, Febrero — 1920. Pod artykułem podpis: Sofia Casanova.

— Na pewno pana interesuje, jak doszło do małżeństwa mego ojca z Hiszpanką? To bardzo romantyczna historia. Ale pan chciał poznać „sagę rodu Lutosławskich", a ta zaczęła się znacznie wcześniej. Więc cóż, mam opowiadać od Adama i Ewy?

— Proszę bardzo, niech będzie od Adama i Ewy.

— No, może niezupełnie od Adama, ale od Franciszka. To właśnie dziadek Franciszek osiedlił się tu, w Drozdowie pod Łomżą. Bo w ogóle to pochodzimy z Radomszczańskiego, dokładnie — z Pietrzykowa. Dziadek był bardzo rzutki, założył tartak, wybudował browar. Działo to się w czasach, gdy ziemiaństwo nie zajmowało się zbytnio takimi sprawami. Piwo drozdowskie było znane w kraju i za granicą, eksportowano je aż do Chin, uzyskało nawet medal na wystawie w Filadelfii.

Dziadek miał sześciu synów, wszyscy otrzymali wyższe wykształcenie, trzech miało dyplomy doktorów, dwóch nawet podwójne. To także nie zdarzało się często w tamtych czasach. Mój ojciec, Wincenty Lutosławski, był doktorem chemii i doktorem filozofii. Oczywiście, miało to i ujemne strony: choć był najstarszy, nie chciał zajmować się majątkiem, ciągle studiował i jeździł po świecie. Tak zajechał do Hiszpanii, gdzie miał rekomendację do różnych osobistości ze świata literackiego i naukowego. Tam poznał moją przyszłą matkę. Była blondynką, miała zielone oczy. Do tego pisywała wiersze, miała już wydany zbiór poezji. Wydawcą był nie byle kto, bo król Alfons XII, mecenas sztuki, wielki przyjaciel poetów. W dniu poznania ojciec napisał na książce matki: „Ta kobieta będzie moją żoną". A potem powiedział do niej: „O, proszę, niech pani patrzy: ja to napisałem i to się wkrótce sprawdzi".

Potem wyjechał, wrócił do Drozdowa, ale niedługo znów ruszył do Hiszpanii i pobrali się w Madrycie, ku przerażeniu mych dziadków tutaj („Hiszpanka, pewnie baletnica, sztylet za podwiązką") i jej rodziców tam („Mąż z Polski, el barbaro del norte, barbarzyńca z północy, tam niedźwiedzie i wilki chodzą po ulicach"). No, ale jakoś się podowiadywali, że w obu rodzinach wszystko jest w porządku, ojciec przywiózł żonę do Polski i moja matka była bardzo przez wszystkich kochana. Mówiła zabawnie po polsku, ale język poznała doskonale i zawsze nam zaznaczała, że jesteśmy Polkami.

Ojciec bardzo żywo zajmował się młodzieżą, dbał o jej „kościec moralny", który starał się kształtować na swój sposób. Założył stowarzyszenie pod nazwą „Eleusis" które propagowało cztery wstrzemięźliwości i krzewiło hasła Filaretów wileńskich. Stowarzyszenie to wydawało czasopismo pod tą samą nazwą, które redagowali Szczęsny Turowski, Stanisław Witkowski, Tadeusz Dąbrowa, a oprócz ojca współpracował z „Eleusis" Stanisław Pigoń. Był też propagatorem hatha yogi, która dzisiaj jest taka modna, uczył nas, jeszcze jako małe dziewczynki, jak trzeba siedzieć, jak należy oddychać, wszystko to doskonale pamiętam, myślę, że to mi pomaga właśnie w wytrzymywaniu mej starości...

Mówmy jednak o rzeczach przyjemniejszych, o latach dzieciństwa. Pamiętam z tamtych lat wizytę w Drozdowie młodego podówczas włoskiego pisarza i uczonego, Guglielmo Ferrero, którego żona była córką sławnego Lombroso, autora głośnej niegdyś teorii typów zbrodniczych. Ferrero bawił się z nami, nosił mnie na ramionach, a był u nas wczesną wiosną, kiedy wylała Narew, i bardzo się dziwił, że jest w Polsce taka olbrzymia rzeka, której on nie zna. Ojciec zażartował sobie z niego, jacy to oni we Włoszech są nieucy i Ferrero napisał artykuł do jakiegoś włoskiego pisam o wielkiej rzece w Polsce, o której nikt u nich nie wie. Ale rzeka po kilku dniach zaczęła maleć i wróciła do swego normalnego koryta. Ferrero był okropnie skonfudowany, a ojciec się śmiał. Na pociechę namówił go, by wykopał z nim źródło — potem kąpali się razem w tym źródle i mówili, że świetnie się czują.

Pamiętam też z tamtych czasów moją cioteczną babkę, którą otaczało się wielkim szacunkiem, ponieważ była znaną emancypantką: założyła pensję dla panien i jak głosiła fama, była prototypem pani Latter z „Emancypantek" Prusa.

W roku 1895 wyjechałam z rodzicami do Hiszpanii, gdzie mój ojciec pisał swe główne dzieło „Plato's Logic", które zjednało mu sławę znawcy Platona. I tam właśnie zaprosił Przybyszewskiego z żoną Dagny i Micińskiego z narzeczoną. Myślę, że w grę wchodziły tu pokrewieństwa duchowe. Filozofia Micińskiego, a zwłaszcza Przybyszewskiego jest powszechnie znana, o ojcu mogę jeszcze dodać, że wydał również książkę zatytułowaną „Seelenmacht", co po polsku wykłada się jako „moc duszy", „potęga duszy". Natomiast w zakresie zasad życiowych zachodziły między nim a Przybyszewskim poważne rozbieżności. Wspomniałam już, że ojciec był założycielem związku abstynenckiego, no a Przybyszewski... Ojciec posłał mu pieniądze na podróż, ale jakoś się rozeszły. Więc posłał drugi raz i Przybyszewscy przyjechali. Doskonale pamiętam ich obojga, zwłaszcza Dagny, bo była bardzo ekscentryczna, nosiła szokujące wówczas stroje kąpielowe, tak, że miejscowi rybacy mocno dziwili się tej parze. Przybyszewski bardzo gniewał się na ojca, że zamykał mu alkohole, wreszcie doszło do spięcia, nasz gość zabrał żonę i wyjechał do Madrytu, gdzie zresztą ojciec też umożliwił mu egzystencję.

Micińskiego wspominam bardzo mile. Gdy matka wyjechała na jakiś czas ze starszą siostrą, zostałam pod opieką guwernantki, która jednak mało interesowała się mną, a więcej młodzieżą męską. Wtedy Miciński bawił się ze mną, opowiadał mi bajki, a na odjezdnym napisał nawet wiersz dla mnie, taki typowy utwór do sztambucha.

W jakiś czas po powrocie do kraju wyjechaliśmy do Krakowa, gdzie ojciec prowadził wykłady w Uniwersytecie Jagiellońskim, a matka zorganizowała coś w rodzaju salonu literackiego. Bywali w nim malarze: Stanisławski, Fałat, Wyczółkowski, z poetów Antoni Lange, który przetłumaczył z hiszpańskiego wiersz matki „Krople wody", Sewer Maciejowski, bardzo zaprzyjaźniony z naszą rodziną, który nazywał mnie Marynią i całował zawsze w rękę, co mnie, dwunastoletnią dziewczynkę, bardzo peszyło. Gdy przychodził do nas, chowałam się przed nim, gdzie tylko mogłam.

Tam też poznałam Kasprowicza, Wyspiańskiego, Reymonta, z którym znajomość zacieśniła się potem w Warszawie. Kasprowicz, trochę niedźwiedziowaty, miał przedziwne włosy, taki jakiś ciemny puch na głowie, sprawiał przy tym wrażenie ogromnie dobrotliwego i takim zresztą zachowałam go w pamięci. Wyspiański był natomiast szczupły, mizerny, niepozorny, zawsze milczący, jednak o żywych oczach. Siedział zwykle bez słowa w gronie rozmawiających gości, nie odezwał się ani razu, ale potem mówił, że świetnie się bawił. Ojciec zabrał mnie i siostrę na premierę „Wesela", zrobiło ono na nas wielkie wrażenie.

Męża poznałam po naszym powtórnym powrocie z zagranicy i niedługo się pobraliśmy. Nasze wesele musiało się obyć bez trunków. Wprawdzie koledzy namawiali męża, by do wody sodowej dolał szampana, ale mąż nie posłuchał, był lojalny wobec teścia. Potem to już bywało rozmaicie, bo przyjmowaliśmy wielu gości. Wtedy właśnie, o czym już wspomniałam, zaprzyjaźniliśmy się blisko z Reymontami.

Bywaliśmy nawzajem u siebie, odwiedzili nas, gdy później przebywaliśmy jakiś czas ponownie w Hiszpanii. Pamiętam, że Reymont był oszołomiony corridą, mówił, że to jest piękne widowisko, zachwycał się zręcznością i odwagą terreadorów. Zresztą napisał o tym entuzjastycznie do „Gazety Warszawskiej".

Z taką relacją spotykam się już po raz drugi. O tym, że Reymonta urzekła walka byków, mówiła mi przed paroma laty pani Wanda Panińska mieszkająca w Wieluniu (o której piszę w książce „Zaczęło się od legendy"). Zetknęła się z Reymontem w Paryżu po jego pobycie w Hiszpanii, gdy był świeżo pod wrażeniem corridy. Potwierdza się również to, że pisarz był znakomitym gawędziarzem, miał niezwykły dar plastycznego opowiadania. Pani Wanda zaryzykowała nawet twierdzenie, że Reymont barwniej opowiadał niż pisał. Zadziwia żywotność pisarza, człowieka o mocno nadszarpniętym po katastrofie kolejowej zdrowiu.

— Można go było słuchać całymi godzinami — wspomina pani Maria.

— Bardzo też pasjonował się tym, nad czym aktualnie pracował. Pamiętam jeszcze z wcześniejszych lat jego wynurzenia, kiedy pisał „Chłopów". Opowiadał nam, jaki będzie dalszy ciąg powieści, mówił szczególnie dużo o żebraczce Agacie, przedstawiał dramat Jagusi. Zapalał się, przeczesywał palcami czuprynę. Po prostu odgrywał te postaci, powiedzenie o tyle może trafne, że był za młodu aktorem.

Reymont był ożeniony z bardzo uroczą osóbką, nazywał ją Lili (miała na imię Aurelia). Mieszkali jakiś czas w Warszawie przy ulicy Zgoda, w domu, gdzie mieściła się firma „Gebethner i Wolff". Tam właśnie spotkałam się z Weyssenhoffem i miałam bardzo zabawną przygodę. Byliśmy wtedy na obiedzie u Reymontów. Tak się złożyło, że Weyssenhoff siedział obok mnie, rozmawialiśmy na tematy gastronomiczne, a muszę tu wyjaśnić, że był on wielkim smakoszem. Coś się zgadało, że ja w czasie pobytu w Brukseli byłam u Dodta. To taka nieduża restauracyjka przy bocznej uliczce, znana jako najświetniejsza kuchnia w Europie. Gdy Weyssenhoff się dowiedział, że ja tam byłam, wstał i pocałował mnie w rękę. „No — powiada — nareszcie spotykam kogoś, kto był u Dodta".

Potem, w okresie międzywojennym, gdy byłam w Brukseli z moim synem, chciałam odwiedzić tę restauracyjkę. Odszukaliśmy uliczkę, pytamy jakiegoś nobliwie wyglądającego pana, gdzie znajduje się Dodt, a on powiada: „No, jeśli państwo chcieli zjeść śniadanie u Dodta, to państwo się spóźnili o dwadzieścia pięć lat".

Wracając do okresu sprzed pierwszej wojny światowej, warto może wspomnieć, że z „Gazetą Warszawską" współpracowali tacy autorzy jak Ignacy Chrzanowski, Makuszyński, Grzymała-Siedlecki, a także — Sienkiewicz. Sienkiewicza mąż poznał u swoich kuzynów Gąsowskich, u których pisarz często bywał. Udało mu się pozyskać go dla swego pisma: Sienkiewicz drukował w roku 1910 w „Gazecie Warszawskiej" swoją ostatnią powieść „Wiry" (jeśli nie liczyć wydanej w rok później powieści dla młodzieży „W pustyni i w puszczy"). Mąż przechowywał listy Sienkiewicza, pisane w związku z drukiem „Wirów", ale wszystkie zginęły w czasie ostatniej wojny.

Byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem, mieliśmy pięcioro dzieci. Jeden syn jest lekarzem, drugi psychologiem (to chyba po dziadku), jedna z córek — kustoszem Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i lektorem języka hiszpańskiego. Zresztą wszystkie moje dzieci znają język hiszpański (oczywiście po babce). Mają do niej sentyment za jej sympatię dla naszego kraju. Bo matka napisała też osnutą na tle stosunków polskich powieść „Doktor Wolski", którą przetłumaczyła Hajota. A w czasie pierwszej wojny światowej, gdy przebywała w Warszawie, była właśnie korespondentką madryckiego dziennika. Pisała zawsze „desde Polonia", „z Polski", kiedy Polski nie było na mapie świata.

Wychodzimy z panią Marią na ganek, po którego krawędziach piętrzą się pnące róże. Pytam jeszcze o pokrewieństwo ze znanym kompozytorem, Witoldem Lutosławskim.

— To mój stryjeczny brat, ale znacznie młodszy ode mnie, a nawet od mojej córki. Mój ojciec był najstarszy, a jego — najmłodszy z braci. Chowaliśmy się wraz z ojcem Witolda w Drozdowie jak rodzeństwo.

Pani Maria prowadzi mnie jeszcze do parku, trochę ubolewając, że jest zaniedbany. Nad nami wysokie sklepienie drzew, łuk niemal gotycki, bardzo to wszystko przypomina mi stary park w Bronowie, gdzie mieszkała przez dziesięć lat Maria Konopnicka. Mówię o tym pani Marii, i wtedy okazuje się, że i z Konopnicką zetknęła się w swym życiu: było to w dzieciństwie, pamięta tylko szczupłą, starszą, ubraną na czarno panią w ćwikerach. Dygnęła przed nią nogą i uciekła zaraz bawić się do dzieci.

— Do dzieci... — pani Maria uśmiecha się. — Teraz ja jestem starszą panią. Ba, jestem najstarszą w rodzinie Lutosławskich.

TEATR

NIESPOŻYTY HENRYK RYL

Przed paroma tygodniami, 19 grudnia 1977 roku, Henryk Ryl — jeden z twórców i niestrudzonych animatorów polskiego lalkowego teatru — obchodził jubileusz 35-lecia pracy artystycznej.

Data liczona jest umownie, od czasu pierwszych autorskich i reżyserskich prób w obozie jenieckim w Murnau, choć zainteresowanie lalkami obudziło się w dzisiejszym Jubilacie znacznie wcześniej, już przed wojną, gdy jako młody nauczyciel tworzył amatorski teatr kukiełek na zapadłej poleskiej wsi. Potem był rok 1939, pobyt w oflagu, kontakty z ludźmi zawodowo zajmującymi się sztuką, m.in. z Leonem Schillerem, który — czemu dawał wyraz wielokrotnie — ogromnie lubił i cenił teatr lalkowy.

Z Schillerem współpracował Ryl jeszcze przez kilka miesięcy po zakończeniu wojny, przy Teatrze Ludowym im. Bogusławskiego w Lingen prowadząc scenę kukiełkową dającą przedstawienia dla dzieci i dorosłych. Scena, co prawda dość nieśmiało, agitowała za powrotem do kraju, jej twórca okazał się tedy konsekwentny i już w grudniu 1945 roku widzimy Ryla w Krakowie, gdzie wspólnie z Władysławem Jaremą rozpoczyna starania o przywrócenie do życia znajdującej się w tarapatach finansowych „Groteski".

Wiosną 1946 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznaje „Grotesce" pierwszą subwencję, powierzając równocześnie Rylowi kierownictwo teatru, co — rzecz zrozumiała — było udzieloną trochę na kredyt formą zawodowej nobilitacji. Kredyt ten spłaca Ryl już pierwszym przedstawieniem, pięknymi i poetyckimi „Kolorowymi piosenkami", które w trzech kolejnych wersjach realizować będzie również i na łódzkiej scenie. Po „Kolorowych piosenkach" — mówimy wciąż o okresie krakowskim — przyszły następne premiery odbywające się przede wszystkim pod hasłem walki o autentycznego, dziecięcego widza, zaś w roku 1948 Ryl przekazał „Groteskę" Zofii i Władysławowi Jaremom, przyjechał do Łodzi i tu wraz z żoną Marią stworzył nowy teatr — „Arlekin".

I Właśnie od „Arlekina" rozpoczął się najbujniejszy okres w życiu Jubilata, który na dobrą sprawę trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy. Garnąc się do wszelkiej roboty, byle tylko z lalkami związanej, rzadko też kiedy pozwalając się komuś w pracy wyręczać, stał się Henryk Ryl nieomal instytucją, dyrektorem teatru, reżyserem, autorem sztuk, wydawcą, teoretykiem, publicystą, pedagogiem i działaczem w jednej osobie, w tak wszechstronnej działalności znajdując ujście dla swojego temperamentu i niespożytej energii.

Instytucja zwana Henryk Ryl wikłała się niekiedy w wewnętrzne sprzeczności, okazywała kontrowersyjna, budziła emocje, nawet niechętni nie odważyli się jednak kwestionować faktu, iż zawsze była to instytucja w pełni artystyczna. Pamiętam znakomite przedstawienia Henryka Ryla, pamięta i słabsze, nawet w tych ostatnich zawsze była jednak jakaś wspaniała scena, pomysłowo rozwiązana sekwencja, coś stanowiącego niejako „znak firmowy" twórcy, piętno jego bujnej indywidualności.

Ryl — teoretyk opowiadał się raczej po stronie teatru lalkowego dla dzieci, a zarazem teatru, w którym lalka — pacynka, jawajka, kukiełka czy marionetka — stanowi główny i podstawowy środek wyrazu, Ryl — publicysta bronił tego stanowiska w artykułach, zarazem Ryl — reżyser co trochę próbował eksperymentować, znajdując zrozumienie i życzliwe poparcie u Ryla — dyrektora teatru.

Właśnie „Arlekin", obok krakowskiej „Groteski", ma w dorobku najciekawsze przedstawienia dla dorosłych, „Lekarza mimo woli" Moliera, „Balladynę" i „Lillę Wenedę" Słowackiego, „Nala i Damayanti" według ksiąg Maha-Bharata. W „Młynku do kawy" grały przedmioty obok aktorów pokazanych w żywym planie; w „Srebrnej przygodzie" — figurynki animowane przez aktorów na oczach widowni, w innych spektaklach, chociażby w „Wujku Bum", próbował Ryl techniki „żyworękiej", ukazując aktorów widocznych od kolan, przystrojonych w nadnaturalnej wielkości maski i operujących własnymi rękoma.

Ryl — dyrektor prowadził nie tylko „Arlekina", ale — przez krótki co prawda czas — również łódzkie „Pinokio", zaś od roku 1950 przez trzy lata był dyrektorem Państwowych Teatrów Lalek, który to okres w książce „Dziewanna i lalki" (bo i książkę, zważcie Państwo, zdążył napisać!) wspomina zresztą z pewną niechęcią. Jak tam było, tak tam było, za czasów ogólnopolskiej dyrekcji Ryla odbył się jednak festiwal sztuk radzieckich, pierwszy w ogóle festiwal w historii polskiego lalkarstwa!

Ryl — autor pod pseudonimem Grzegorza Franta, a i pod własnym nazwiskiem, napisał i adaptował wiele tekstów dla teatru lalek, że wspomnimy tu takie sztuki jak „Kolorowe piosenki", „Sambo i lew", czy pisaną wspólnie z J. Makarczykiem „Cudowną lampę Aladyna".

Ryl — publicysta współpracował w latach 1950—53 z redagowanym przez Zofię i Jana Sztaudyngerów pismem „Teatr lalek", które Ryl — wydawca wznowił z ogromnym wysiłkiem w roku 1957, znów niestety tylko na czas jakiś.

Ryl — pedagog może poszczycić się wychowaniem całego grona znakomitych aktorów, z nie występującym już Józefem Kaczorowskim, Teresą Sawicką i Zdzisławem Owsikiem na czele, zaś osobny rozdział mogłyby stanowić dzieje toczonych przez niego walk o solidne, systematyczne nauczanie przyszłych aktorów lalkarzy.

Ryl — działacz był współtwórcą i przez wiele kadencji przewodniczącym Sekcji Teatrów Lalek SPATiF-u, wprowadzał też Polskę do reaktywowanego w 1957 r. międzynarodowego stowarzyszenia lalkarzy UNIMA i po dziś dzień kieruje pracami jej krajowego ośrodka.

Prowadząc boje na tak wielu frontach odnosił Ryl piękne sukcesy, ale przeżywał też i porażki, nawet prawdziwe katastrofy, w tym samochodowe również. Nic i nigdy go nie załamało, prosto ze szpitalnego łóżka rwał się do pracy, nie dając nawet po sobie poznać, że nie jest jeszcze w pełni sił.

Uparcie ucząc się języków, drogą oficjalną i prywatną nawiązał kontakty z lalkarzami całego świata, znają Ryla wszędzie, a i on, zda się, zna wszystkich, zaś te kontakty owocują również mnogością międzynarodowych wymian, na których brak polskie teatry lalkowe z pewnością nie mogą się uskarżać.

Więc i tytuł ambasadora lalkarstwa można by Jubilatowi przyznać, a przecież niespożyty Henryk Ryl nadal pisze, tłumaczy, reżyseruje, pracuje, słowem ani myśli spocząć na laurach.

Wobec tego — sto lat, Panie Henryku, sto lat!

JERZY PANASEWICZ

GRAŻYNA KOMPEL

XIII WARSZAWSKIE SPOTKANIA TEATRALNE

SMUTEK i BÓL CZŁOWIEKA

Mnożące się w zawrotnym tempie festiwale nie zdołały, jak sądzę, zmniejszyć rangi imprezy mocno usytuowanej w polskim życiu kulturalnym. Warszawskich Spotkań Teatralnych. Ów przegląd, choć chronologicznie późniejszy niż Festiwal Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej w Katowicach, Festiwal Teatrów Polski Północnej w Toruniu czy Kaliskie Spotkania Teatralne, zyskał sobie zrazu pozycję imprezy centralnej. I to z dwóch powodów: 1 stopnia ze względu na siedzibę, 2 stopnia ze względu na brak ściśle określonej formuły Spotkań, a w konsekwencji — elastyczne kryteria kwalifikowania spektakli.

Generalna zasada pozostała wszakże niezmienna — winny to być najwartościowsze przedstawienia poprzedzającego Spotkania sezonu najlepszych scen pozawarszawskich. W tym miejscu pojawia się pytanie o dobór repertuaru ostatnich WST, czy istotnie zapewnił on obejrzenie tego, co wyróżnia się od rzetelnej, choć przeciętnej, codziennej roboty teatralnej?

Odpowiedź nie jest prosta ani jednoznaczna. Tym, co zaskoczyło mnie w doborze przedstawień pokazanych na Spotkaniach była ich powtórna prezentacja. Okazało się bowiem, że na sześć programowych i dwa towarzyszące spektakle jedynie trzy były pokazywane poza siedzibą macierzystego teatru po raz pierwszy (łódzki „Tartuffe", krakowskie „Wesele" i „Operetka" Brauna, która jednak stanowiła imprezę towarzyszącą ostatniego Festiwalu Sztuk Współczesnych we Wrocławiu). Inne zaprezentowano wcześniej w Toruniu bądź w Katowicach, czy nawet za granicą („Nastasja Filipowna", którą w sierpniu ubiegłego roku obejrzeli mieszkańcy Helsinek).

W repertuarze XIII WST dominowała klasyka nad dramaturgią współczesną, a sztuki pisarzy polskich przeważały nad obcą twórczością dramatyczną.

Grudniowe Spotkania poprzedziły dwie ważne rocznice, do uczczenia których włączył się również nasz teatr. Była to 60 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 70 rocznica śmierci Stanisława Wyspiańskiego. Obie znalazły odbicie w programie teatralnym oraz w tzw. imprezach towarzyszących. Myślę tu przede wszystkim o wystawach: „Inscenizacje sztuk radzieckich w Warszawie w latach 1967—1977" oraz „Wyspiański w teatrze warszawskim".

Pierwsza ekspozycja prezentowana w foyer Teatru Dramatycznego obejmuje projekty prac scenograficznych, kostiumy, plakaty, afisze, fotografie z przedstawień sztuk rosyjskich i radzieckich wystawianych w minionym dziesięcioleciu na deskach scen stołecznych teatrów.

Na drugą wystawę, której organizatorem jest Muzeum Teatralne w Warszawie złożyły się pastele Wyspiańskiego przedstawiające aktorów w rolach z jego dramatów kostiumy, projekty dekoracji wybitnych scenografów, m. in. Pronaszki i Daszewskiego, rekwizyty, obrazy, rzeźby, fotografie, plakaty, afisze oraz inne unikalne dokumenty.

Gdy mowa o imprezach towarzyszących, nie sposób nie wspomnieć o dwu dokumentalnych filmach wyświetlanych codziennie przed spektaklami „Godzina teatru" L. Perskiego i S. Treugutta oraz „Teatralna podróż" M. Kwiatkowskiej i J. Gościka).

Wróćmy jednak do teatru. Mimo całego zróżnicowania w zakresie tworzywa dramatycznego i różnorodności zespołów, ostatnie Spotkania można by lapidarnie określić mianem smutnych. Epitet ten dotyczy także przedstawień, które publiczność kwitowała szczerym, niewymuszonym śmiechem. Myślę o „Tartuffe'ie" i „Operetce".

Stara molierowska komedia w przekładzie i reżyserii B. Korzeniewskiego (rec. „Odgłosy" 1977 nr 47), choć doraźnie bawiła, to jednak pozostawiła gorzkie refleksje o obludzie, która czyha wszędzie, na każdym kroku, i która tym jest boleśniejsza, im bliższy człowiek nią obdarzający. Podobnie dramat Gombrowicza, taki taneczny i śpiewny, w ujęciu inscenizacyjnym odsłonił głęboki tragizm wylaniający się ze zmienności strojów, mód, stylów, znaków, słowem — historii.

Poznańskie przedstawienie „Letników", pokazało nie tyle rosyjską inteligencję z początku naszego stulecia, co poszczególnych bohaterów utworu w ich niesamowitej szarpaninie i pogoni za kierunkiem, sensem, losem.

„Samuel Zborowski" gdańskiego Teatru Wybrzeże podjął romantyczny wątek o wędrówce dusz i przedstawił proces toczący się między reprezentantami dwu różnych orientacji i ideologii. Procesu tego nie rozstrzygnął ani Słowacki, ani realizatorzy przedstawienia.

Prapremiera „Ballady łomżyńskiej" Brylla w wykonaniu zespołu elbląskiego, dramatu opowiadającego o miłości tak silnej, że aż śmierć zwyciężającej, była również utrzymana w tonie goryczy i smutku, przechodzącego zbyt często w nieuzasadniony patos.

Ból człowieczy emanował z dwu niezwykle kameralnych, prezentowanych poza sceną Teatru Dramatycznego przedstawień, „Opowieści scenicznej o Aleksandrze Bloku" A. Sztejna i improwizacji na motywach powieści F. Dostojewskiego „Idiota", zatytułowanej „Nastasja Filipowna". Oba te spektakle, przy wszystkich różnicach warsztatowych i literackiego tworzywa, łączy silnie założona przez inscenizatorów chęć pobudzenia widzów do niezwykle aktywnego współdziałania z twórcami.

Ogromnym kredytem zaufania obdarzył również publiczność J. Grzegorzewski, twórca najciekawszego — moim zdaniem — przedstawienia Spotkań, „Wesela". Reżyser odważył się na rzecz niezwykłą. Oprócz własnej interpretacji dramatu, pokusił się o wpisanie w nią siedemdziesięciokilkuletniej tradycji teatralnej. Taka koncepcja oczekuje od widza gotowości do wysiłku intelektualnego, który umożliwi podjęcie dialogu o „Weselu" jako ważnej cząstce kultury nie tylko literackiej i nie tylko teatralnej, ale kultury **w najogólniejszym sensie**. Publiczność godząc się zatem na artystyczną propozycję Grzegorzewskiego, staje się już nie w przenośni — współtwórcą przedstawienia. Przedstawienia, co tu ukrywać, ciężkiego, mrocznego, rozgrywającego się w somnambulicznym transie. Przedstawienia, w którym tradycyjna rozśpiewana chata została zastąpiona przez jakiś dziwny magazyn instrumentów, na których wygrywa się sprawy boleśnie okrutne i boleśnie prawdziwe.

XIII Warszawskie Spotkania Teatralne 6—17 XII 1977 na scenie T. Dramatycznego m. st. Warszawy: TARTUFFE CZYLI OBŁUDNIK Moliera w przekł. i reż. B. Korzeniewskiego, scen. K. Pankiewicza. Prem. 22 X 1977 w T. Nowym w Łodzi; LETNICY M. Gorkiego w przekł. M. Zagórskiej, reż. J. Nyczaka, scen. J. Kowarskiego, muz. J. Satanowskiego. Prem. 11 XII 1976 w T. Nowym w Poznaniu; OPERETKA W. Gombrowicza w insc. i reż. K. Brauna, scen. Z. de Ines Lewczuk, muz. Z. Karneckiego. Prem. 21 V 1977 w T. Współczesnym we Wrocławiu; SAMUEL ZBOROWSKI J. Słowackiego w adapt. i reż. S. Hebanowskiego, dek. J. Berdyszaka, kost. J. Pożakowskiej, muz. A. Bieżana. Prem. 11 VI 1977 w T. Wybrzeże na Targu Węglowym w Gdańsku; BALLADA ŁOMŻYŃSKA E. Brylla, reż. J. Grucy, scen. R. Strzembały, muz. Cz. Niemena. Prem. 11 VI 1977 w T. Dramatycznym w Elblągu; WESELE S. Wyspiańskiego, reż. i scen. J. Grzegorzewskiego, muz. S. Radwana. Prem. 12 VI 1977 w Starym T. w Krakowie. Imprezy towarzyszące: OPOWIEŚĆ SCENICZNA O ALEKSANDRZE BŁOKU A. Sztejna w przekł. R. Szydłowskiego, reż. K. Brauna, scen. J. Czarnockiej, muz. R. Augustyna. Prem. 8 X 1977 w T. Współczesnym we Wrocławiu; NASTASJA FILIPOWNA improwizacja na motywach powieści F. Dostojewskiego „IDIOTA" w przekł. J. Jędrzejewicza, adapt. i reż. A. Wajdy, scen. K. Zachwatowicz. Prem. 17 II 1977 w Starym T. w Krakowie.

ZAPISKI KRONIKARZA

Gdzie, jak gdzie, ale akurat w teatrze Nowy Rok nie stanowi jakiejś szczególnej okazji do podsumowań i generalnych ocen, sezon trwa bowiem w najlepsze i co najwyżej główni księgowi biedzą się nad zamknięciem bilansu... Okazja taka przyjdzie oczywiście wraz z końcem sezonu, a wcześniej jeszcze stanie się nią Międzynarodowy Dzień Teatru, kiedy to przyznane zostaną Srebrna Łódka i Srebrny Pierścień, nagrody z bogatą już tradycją, coraz wyżej cenione przez teatry i aktorów.

Może to zresztą i lepiej, że jest jeszcze trochę czasu, bo gdyby już dzisiaj trzeba było oddać głos, miałbym spore kłopoty z wyborem, przynajmniej jeżeli chodzi o jesienną i zimową serię premier. Spektakli poprawnych, a nawet więcej niż poprawnych, dobrych i interesujących, było wprawdzie sporo, ale żaden z nich nie wyrósł zdecydowanie ponad inne, nie stał się wydarzeniem uznanym powszechnie. Przykładem niech będzie doskonale przyjęty w Łodzi „Tartuffe czyli obłudnik" Moliera, który podczas XIII Warszawskich Spotkań Teatralnych nie uzyskał równie wysokich notowań, obok pochwał zbierając zastrzeżenia, że wspomnę tylko publikowaną na łamach „Życia Warszawy" recenzję seniora naszej krytyki Wojciecha Natansona.

Nie do końca szczęśliwi opuszczaliśmy również Teatr Nowy po premierze „Mądremu biada" Gribojedowa, sztuce którą wręcz uwielbiam od czasu słynnego warszawskiego przedstawienia z 1951 r. z Kurnakowiczem — Famusowem i Kreczmarem w roli Czackiego. Wkrótce potem zacząłem zaczytywać się świeżo wydanym, wspaniałym przekładem Tuwima i do dziś całe partie tekstu znam na pamięć, kiedy więc zdarzyło się poniektórym wykonawcom podczas zmagań z wierszem bezlitośnie zacierać genialne pointy — czułem, jakby mnie dźgano prosto w serce. A point, porzekadeł, które weszły w krwiobieg rosyjskiego języka, stały się nieomal przysłowiami — jest u Gribojedowa co niemiara, stąd przy realizacji jego komedii dbałość o urodę słowa obowiązywać musi w stopniu najwyższym, co niestety nie zawsze zdołał reżyser wyegzekwować. Zarazem przedstawienie ma i mocne strony, mogła się na przykład podobać równie piękna, co funkcjonalna scenografia Zenobiusza Strzeleckiego.

Skoro już jednak zacząłem grymasić, jednym tchem dorzucę, że rozczarowała mnie także „Panna Julia" Strindberga na Małej Scenie Teatru im. Jaracza, jakby trochę chłodna, beznamiętna, poddana przez reżysera nie zawsze chyba rozsądnie wyważonym skrótom. O Strindbergu, podobnie zresztą o Gribojedowie, należałoby wszelko w najbliższym czasie porozmawiać szerzej, być może kłócąc się nawet przy okazji odrobinkę, zachowuję bowiem upartą nadzieję, że takie przyjacielskie spory w ostatecznym rachunku dobrze służą teatrowi.

Nie byłbym też aż tak pesymistyczny jak Józef Ratajczak, który odpowiadając na ankietę „Teatru" (nr 25 z 11 grudnia 1977) ogłosił urbi et orbi:

„Krytyk nie jest już reprezentantem publiczności, posługuje się fałszywym mandatem. Nie jest partnerem, którego sądy chciałoby się choć pour la chec skopiować. Jest sam. Nie zauważany przez teatr. Tolerowany przez mecenesa.

Nie zdziwmy się, gdy jutro, pojutrze — zacznie przepisywać afisze i stanie się fachowcem od reklam płatnych przez teatr. Nie brak już zapowiedzi, że ktoś taki nadchodzi. A teatr jest na jego przyjście w pełni przygotowany".

Tyle na prawach dygresji i bez komentarza. Podejmując kronikarskie obowiązki dodam jeszcze, że obok spektakli mających za sobą tzw. „prasówkę" z końcem grudnia odbyło się kilka dalszych premier na dramatycznych i lalkowych scenach. Na afisz specjalizującej się w komedii i musicalu Sceny 7.15 weszła „Rzymska łaźnia" w reżyserii Piotra Hertla, z kolei PTL „Arlekin" wystąpił z montażem bajek Jana Brzechwy, oraz z widowiskiem opartym na uroczych książkach o Muminkach pióra skandynawskiej autorki Tove Jansson.

O pozostałych teatralnych wydarzeniach minionego miesiąca piszemy na tej samej kolumnie, raz jeszcze wracając do sesji naukowej poświęconej Zelwerowiczowi i z ogromną przyjemnością odnotowując piękny jubileusz 35-lecia pracy artystycznej jednego z pionierów polskiego lalkarstwa, Henryka Ryla.

J.P.

OLGI OLGINY RADOŚĆ TWORZENIA

Foto: I. Strzemieczna

Wielka artystka, wybitny pedagog, wspaniały, najżyczliwszy człowiek, bez reszty oddana umiłowanej przez siebie sztuce — oto jak można by najkrócej i najcelniej scharakteryzować niezwykły wprost fenomen, wyjątkowe zjawisko, jakim w polskim życiu muzycznym jest profesor Olga Olgina, której jubileusz 55-lecia pracy artystycznej i pedagogicznej święciliśmy kilka dni temu w hołdzie dla jej talentu i niepospolitych zasług.

Olga Olgina, śpiewaczka, o której recenzent jednej z gazet jugosłowiańskich pisał pięćdziesiąt lat temu, iż „... jej wysoki sopran jest nadzwyczaj dźwięczny, pełny i równy, a koloratura, którą włada z iście matematyczną precyzją, zachwyca lekkością pasażu, słowiczym trylem i miękkością tonu", odbyła studia muzyczne w Konserwatorium w Leningradzie uwieńczając je w roku 1920 dyplomem z fortepianu „zrobionym" bardziej zdaje się na życzenie rodziców niż z własnego przekonania i zamiłowania, to ostatnie bowiem od najwcześniejszych lat dzieciństwa skłaniało artystkę w stronę wokalistyki, tym bardziej iż z dużym powodzeniem, stanowiąc niedościgły, a przecież najbliższy wzór uprawiała tę trudną, a piękną sztukę matka Olgi Olginy — była śpiewaczka Opery Maryjskiej w Petersburgu. Tak więc córka z woli rodziców ćwiczyła fortepianowe pasaże w salonie, a ukochane arie — wbrew zakazowi mającemu oszczędzić głos — śpiewała w łazience. Czas na lekcje śpiewu przyszedł dopiero po ukończeniu konserwatorium. Piękny głos i gruntowne wykształcenie muzyczne Olgi Olginy sprawiły, iż jej debiut operowy (w partii Traviaty) odbył się zaledwie dwa lata — później (1 grudnia 1922) na scenie nowo otwartej opery w Wilnie. Recenzenci przyjęli ten występ nader życzliwie i młodziutka artystka rychło stała się ulubienicą publiczności występując w pierwszym swym sezonie teatralnym w partiach tak znaczących, jak: Gilda w „Rigoletto", Rozyna w „Cyruliku sewilskim", Lalka w „Opowieściach Hoffmanna" i Oskar w „Balu maskowym". Także i zagraniczne sukcesy nie kazały na siebie zbyt długo czekać. Gościnne występy Olgi Olginy na scenach Austrii i Jugosławii, i wielu innych krajów europejskich słowami najwyższego uznania dla jej kunsztu wokalnego określała tamtejsza prasa, której recenzenci muzyczni pisali m. in. „... piękny, nadzwyczajnie wykształcony głos... wzruszająca, a prawdziwa gra i pełna wdzięku postać" „Slovenski Narod". Lublana, 1926); „Zrobiła swym występem w „Traviacie" i „Rigoletto" niebywale korzystne wrażenie... dzięki swemu głosowi o wyjątkowej barwie i lekkości oraz grze pełnej wdzięku i temperamentu" („Wreme", Belgrad 1926); „Śpiewaczka wielkiego formatu. Poddanie się oddziaływaniu piękności jej śpiewu jest prawdziwą radością" („Wiener Gesellschaftsblatt", Wiedeń, 1927). W czasie swego pobytu w Anglii Olga Olgina nagrała płyty dla firmy „Decca-Record" i koncertowała z Orkiestrą Symfoniczną BBC w Londynie i Orkiestrą Symfoniczną w Glasgow pod dyrekcją Johna Barbirolli. I znów entuzjazm recenzentów sięgnął szczytów: „Wyborna śpiewaczka!..." (The Evening Post, Glasgow 1930), Doskonały występ!" (The Daily Record, Glasgow 1931), „Rzadko spotykane możliwości interpretacyjne. Głos o miękkiej barwie i bogactwie niuansów w zależności od charakteru każdego śpiewanego utworu..." (Musical Opinion, Londyn).

Gwiazda Olgi Olginy przydała blasku Operze Warszawskiej. Jej solistką ta znakomita śpiewaczka była w latach 1926—1934. Od 1934 do 1936 roku Olga Olgina śpiewała także w Operze Poznańskiej. Stałą współpracę z teatrem wybitna śpiewaczka zakończyła w 1936 roku. Nie zrezygnowała jednak z gościnnych występów na scenie, estradzie i przed mikrofonem. Olga Olgina znakomita wykonawczyni repertuaru operowego zapisała się także w dziejach wokalistyki polskiej jako wielka propagatorka polskiej twórczości pieśniarskiej. „Celuje szczególnie w interpretacji pieśni Szymanowskiego i Różyckiego..." pisał recenzent „Muzyki" w styczniu 1927 roku.

Bardzo wcześnie rozpoczęła Olga Olgina działalność pedagogiczną. W latach 1939—1941 i 1944—1945 była profesorem śpiewu w Konserwatorium Wileńskim, a już 15 maja 1945 roku podjęła do dziś trwającą pracę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. W roku 1968 Olga Olgina otrzymała tytuł profesora zwyczajnego. W uczelni łódzkiej pełniła szereg odpowiedzialnych funkcji. W latach 1961—1972 była dziekanem Wydziału III — Wokalnego, w roku 1973 zorganizowała w łódzkiej PWSM Katedrę Wokalistyki. Olga Olgina przez 15 lat (1953 — 1968) pracowała także w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Jest członkiem Komisji Kwalifikacyjnej dla kandydatów na konkursy zagraniczne, uczestniczy w pracach jury wielu konkursów wokalnych w Polsce i za granicą.

Wieloletnia, pełna głębokiego zaangażowania działalność artystyczna i pedagogiczna prof. Olgi Olginy przyniosła Czcigodnej Jubilatce szereg odznaczeń i nagród, m. in. Medal X-lecia PRL (1954), Złoty Krzyż Zasługi (1955), Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (1960), Nagrody I — stopnia Ministra Kultury i Sztuki (1966 i 1977), Honorową Odznakę Miasta Łodzi (1969), Odznakę Zasłużonego Nauczyciela PRL (1972), Nagrodę Miasta Łodzi, Medal XXX-lecia PRL (1974) i Order Sztandaru Pr.. y I Klasy (1975).

Dla listy oficjalnych nagród i najwyższych odznaczeń państwowych szczególnym tłem i jej serdeczną podstawą jest uznanie fachowej krytyki muzycznej i głęboka wdzięczność publiczności rozmiłowanej w pięknej sztuce bel-canta.

Niepospolita sympatia, jaką cieszy się ta wybitna artystyka jest w pełni zasłużona. Olga Olgina nie tylko swoim śpiewem dostarczała najgłębszych przeżyć kilku pokoleniom odbiorców (najmłodsi miłośnicy opery mogli poznać głos Olgi Olginy dzięki zabiegom i trosce Polskich Nagrań, które dokonały powtórnej edycji jej przedwojennych płyt), wykształciła też wiele głosów, które dziś zachwycająco brzmią na scenach operowych świata. Największe śpiewaczki operowe świata (tym mianem obdarzamy dziś Teresę Żylis-Garę i Teresę Wojtaszek Kubiak właśnie Pani Profesor Olginie zawdzięczają ów kunszt, którym nieustannie zachwycają się znawcy i miłośnicy opery. Życzliwa pamięć i wdzięczność podkreślana przez wszystkie uczennice Olgi Olginy oraz ich mistrzostwo wokalne i nasze dla nich uznanie jest cząstką hołdu, jaki wszyscy oddajemy dziś Wybitnej Artystce i Świetnemu Nauczycielowi.

Artystyczne i pedagogiczne sukcesy Olgi Olginy, wspaniałe dzieło jej życia zrodziło się z wielkiego, niezbędnego w sztuce uczucia: z radości tworzenia. Oby długo jeszcze najpiękniejsze wzruszenia płynęły ku nam z tego źródła.

Schylając głowę przed Artystką Pedagogiem i Człowiekiem składamy dziś Pani Profesor Oldze Olginie wyrazy naszej wdzięczności i najlepsze życzenia dalszych, równie pięknych osiągnięć dla kultury polskiej, którą tak serdecznie umiłowała.

EWA PANKIEWICZ

STULECIE URODZIN ALEKSANDRA ZELWEROWICZA

Aktorstwo teatralne należy niewątpliwie do najbardziej ulotnych form ludzkiej działalności artystycznej. Fenomen ten, nie wytwarzając żadnego materialnego ekwiwalentu, skazany jest na konstytuowanie się wyłącznie w bezpośrednim i czasowo ograniczonym kontakcie z odbiorcami sztuki teatru. Zmienność kondycji psychofizycznej aktora i widza, uniemożliwiająca powielanie spektaklu w identycznym kształcie, sprawia, że kontakt ten ma charakter nietrwały i niepowtarzalny.

Utrwalaniem i nobilitacją aktorskiej działalności zajmuje się krytyka teatralna. Subiektywna, często nieprecyzyjna próbuje przedłużyć w czasie oddziaływanie scenicznych indywidualności. Sądy krytyki wyrażone w recenzjach, omówieniach, przeglądach dają się weryfikować zazwyczaj tylko wtedy, gdy dany aktor żyje i tworzy na naszych oczach. Problematyczne natomiast staje się funkcjonowanie społeczne tych osobowości aktorskich, które odegrawszy istotną rolę w dziejach teatru odeszły już w przeszłość. Historyczne znaczenie, jakie przypisało im piśmiennictwo teatralne bardzo trudno poddaje się weryfikacji, a każda rekonstrukcja scenicznego emploi przynosi najczęściej efekt niepełny i hipotetyczny. Działalność zmierzająca do odtworzenia i przybliżenia współczesnym wielkich indywidualności teatralnych jest zatem zadaniem trudnym i ryzykownym.

Świadomość ryzyka towarzyszyła niewątpliwie Zakładowi Dramatu i Teatru Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ organizującemu wraz z Teatrem im. Stefana Jaracza, Towarzystwem Przyjaciół Łodzi oraz Wydziałem Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty łódzkie obchody stulecia urodzin Aleksandra Zelwerowicza.

W programie uroczystości znalazły się następujące pozycje: sesja naukowa, wystawa dokumentów związanych z działalnością Zelwerowicza, montaż teatralny złożony z jego wypowiedzi na temat aktorstwa, reżyserii i prowadzenia teatru, spotkanie z aktorami poświęcone przypomnieniu kreacji aktorskiej stworzonej przez Zelwerowicza w „Elektrze" Giraudoux na scenie Poetyckiej Teatru Wojska Polskiego w 1946 roku i wreszcie premiera sztuki Tadeusza Rittnera „Głupi Jakub" w Teatrze im. Stefana Jaracza.

Organizatorzy obchodów wykorzystali, jak łatwo zauważyć, niemal wszystkie dostępne modele artystycznej rekonstrukcji. Ta różnorodność form i sposobów prezentacji współgrała bezsprzecznie z ideą ukazania sylwetki Zelwerowicza w jej złożoności i bogactwie.

Różnorodną działalność patrona warszawskiej PWST przedstawiła najpełniej sesja naukowa zorganizowana przez łódzką teatrologię.

Referat **„Aleksander Zelwerowicz jako popularyzator sztuki teatralnej"** wygłoszony przez prof. dr hab. **Stanisława Kaszyńskiego** (UŁ) przypomniał dążenie założyciela PIST-u do pozyskania dla teatru szerokiej i zróżnicowanej społecznie widowni.

Sylwetkę oddanego pedagoga i sprawnego administratora szkół teatralnych ukazał dr **Zbigniew Wilski** (I. S. PAN) w rozprawie **„Działalność pedagogiczna Aleksandra Zelwerowicza"**, a dr **Anna Kuligowska** (UŁ) w pracy **„Pójdę do farsy. O aktorstwie Aleksandra Zelwerowicza"** zajęła się określeniem rodowodu i prezentacją specyfiki zelwerowiczowskiego emploi.

Swoistym dopełnieniem sesji stała się wystawa dokumentów związanych z działalnością teatralną Zelwerowicza. Fotosy, afisze, programy i publikacje krytyczne zgromadzone w hallu Teatru im. Stefana Jaracza prezentowały bogactwo jego zainteresowań i możliwości scenicznych.

Interesującą formą budowania wiedzy o człowieku sceny był również montaż wypowiedzi Zelwerowicza o teatrze, zrealizowany przez znanych aktorów Teatru Jaracza. **(Bogumiła Antczaka, Mariusza Leszczyńskiego, Ewę Mirowską i Ryszarda Sobolewskiego)** pod kierunkiem **Jana Maciejowskiego.** Wypowiedzi te — wybrane przez dr **Annę Kuligowską** — pozwalają dostrzec w Zelwerowiczu zarówno kontynuatora najlepszych tradycji teatralnych, jak i nowatora wprowadzającego do polskiego teatru najcenniejsze zdobycze czasu Wielkiej Reformy.

Próba rekonstrukcji zelwerowiczowskiej roli Żebraka w przedstawieniu „Elektry" Giraudoux (Scena Poetycka Wojska Polskiego 1946 r.) dokonana przez łódzkich aktorów partnerujących mu w tej sztuce **(Barbarę Rachwalską, Władysława Dewoyno i Zygmunta Urbańskiego)** z udziałem prof. dr **Bohdana Korzeniewskiego** pozwoliła określić rodzaj scenicznej twórczości uprawianej przez Zelwerowicza, sposób budowania przez niego postaci scenicznej a także zespół środków aktorskich, które indywidualizował i twórczo przekształcał.

Odrębną pozycją w repertuarze obchodów setnej rocznicy urodzin Aleksandra Zelwerowicza była premiera sztuki Tadeusza Rittnera „Głupi Jakub" przygotowana w **Teatrze im. Stefana Jaracza** przez **Wandę Łaskowską.** Pretekstem do włączenia jej w program uroczystości był fakt, iż sztukę tę wystawił niegdyś Teatr Polski w Łodzi z Zelwerowiczem w roli tytułowej. Owa inscenizacja pochodząca z 1911 roku zapisała się w pamięci współczesnych jako niezwykły popis trzech indywidualności aktorskich: Junoszy w roli Szambelana, Zelwerowicza — Jakuba i Jadwigi Czechowskiej — Hani.

Inscenizacja obecna dokonana przez Wandę Laskowską nie budzi większych emocji. Tekst dramatu Rittnera potraktowano z pietyzmem godnym kopisty, nie dokonując niemal żadnych skrótów, a całość przedstawiono w konwencji XIX-wiecznego teatru realistycznego, w którym wszelka umowność zastąpiona jest materialną dosłownością. Koncepcji tej podporządkowano zarówno grę aktorską, jak i w większości plastykę spektaklu (scenografię i kostiumy) zaprojektowaną przez **Lucję Kossakowską.**

Istotna wartość dramatopisarstwa Rittnera polega, jak się wydaje, na umiejętności tworzenia bogatych ról scenicznych, którym dobre aktorstwo nadaje status egzystencji. Każda z postaci „Głupiego Jakuba" prezentuje jakąś złożoną strukturę psychiczną, pozwalającą wierzyć w zasadność głoszonych przez nią racji. Spośród wszystkich wyróżnia się niewątpliwie osoba Jakuba zamykająca w sobie jądro problemowe dramatu.

Interesujący wydaje się fakt, iż polska tradycja sceniczna utrwaliła nieco odmienny model interpretacyjny utworu Rittnera, sankcjonując przesunięcie myślowego kontrapunktu z postaci Jakuba na postać Szambelana. Efektem owego przesunięcia stało się przekształcenie dramatu o honorze, uczciwości i nonkonformizmie Jakuba w dramatyczne studium samotności Szambelana. Takie ujęcie problematyki pojawia się również w omawianym spektaklu. Być może dzieje się tak dlatego, że aktorzy, partnerujący Szambelanowi, nie dorównują mu sugestywnością i poziomem gry.

Jerzy Przybylski, prezentujący w swych ostatnich dokonaniach bogatą skalę aktorskich możliwości (wystarczy wspomnieć choćby rolę Strindberga w „Nocy Trybad" Enquista), także i w roli Szambelana stworzył kreację godną poprzednich odtwórców tej postaci: Mieczysława Frenkla, Kazimierza Kamińskiego i Kazimierza Junoszy-Stępowskiego.

Spektakl „Głupiego Jakuba" zamknął uroczyste obchody stulecia urodzin Aleksandra Zelwerowicza. Zamknął i spuentował, dając odpowiedź na pytanie o sposób istnienia i funkcjonowanie dzisiaj tych indywidualności aktorskich, które odeszły już w przeszłość.

Uczestniczącym w żywym akcie kolejnych narodzin sztuki teatru, jakim jest niewątpliwie każde przedstawienie teatralne, nasuwa się nieodparte przekonanie, iż ci, którzy nadają mu kształt dzisiaj są jednocześnie spadkobiercami dokonań wcześniejszych i dokonania te poprzez własną twórczość przekazują w przyszłość.

W kontekście tej prawdy uczciwie i skromnie brzmią słowa Aleksandra Zelwerowicza zanotowane w „Gawędach starego komedianta": **„Odszedł Jaracz, odeszło tylu innych znakomitych kolegów, ale teatr istnieje nadal, rozwija się i spełnia wielką rolę wyznaczoną mu przez historię".**

BARBARA NOWAKOWSKA-DROZDEK

JESZCZE JEDNA SENSACJA

Amerykańska prasa medyczna, a w ślad za nią londyński British Medical Journal opublikowały w drugiej połowie ub. roku artykuły o dokonanym w czasie wojny osobliwym odkryciu, dzięki któremu udało się uchronić życie wielu Polaków.

Autorami artykułu zamieszczonego w czasopiśmie amerykańskim (ASM News, miesięcznik Amerykańskiego Towarzystwa Mikrobiologicznego) są dwaj lekarze, E. S. Łazowski, mieszkający obecnie w Chicago i S. Matulewicz z Kinszasy w Zairze. W czasie wojny praktykowali w Polsce i wpadli wtedy na pomysł, którego znaczenia nie można przecenić. Wiąże się on z faktem, że hitlerowcy na dużą skalę posługiwali się siłą roboczą sprowadzaną z krajów okupowanych, głównie z Polski. Wśród klęsk, jakie dotknęły ludność tych krajów był również tyfus plamisty, który w wielu miejscowościach przyjmował rozmiary epidemii. Toteż lekarze zostali zobowiązani do składania pisemnych raportów o wszystkich wykrytych przypadkach oraz do przesłania wraz z raportem próbek krwi pobranych od osobników podejrzanych o tę chorobę. Krew poddawano badaniu odczynem Weil-Felixa. Odczyn ten jak podaje British Medical Journal opracowali dwaj prascy lekarze noszący te nazwiska, zrobili to zaś w oparciu o odkrycie dokonane również w Polsce w czasie pierwszej wojny światowej. Reakcja Weil-Felixa umożliwia rozpoznanie niektórych chorób zakaźnych, wśród nich tyfusu plamistego, skutkiem tego, że surowica chorego zlepia (aglutynuje) niektóre szczepy bakterii zwanej Proteus vulgaris, na przykład szczepy oznaczone mianem X19. Reakcja jest łatwa w przeprowadzeniu, jej zaś wynik jednoznacznie określa przyczynę choroby.

Orientując się w szczegółach tej dość tu ogólnie przedstawionej metody doktorzy Łazowski i Matulewicz wpadli na pomysł wprowadzenia Niemców w błąd, praktycznie zaś wypróbowali ten pomysł w następujących okolicznościach. Zetknęli się z pewnym Polakiem, który przyjechał z Rzeszy na urlop i oświadczył, że „jest gotów na wszystko z samobójstwem włącznie, aby uniknąć hańby niewolniczej pracy w Niemczech". Lekarze zaproponowali mu przeprowadzenie eksperymentu. Wobec przytoczonego wyżej oświadczenia zgodził się bez trudu. Dali mu więc jeden domięśniowy zastrzyk zawiesiny bakterii Proteus OX19, znajdującej się już w stanie zlepienia (aglutynacji). Następnie próbkę krwi posłano do niemieckiego laboratorium państwowego, skąd telegraficznie nadszedł pozytywny wynik badania. Odpowiedź tę zgłoszono do lokalnych władz okupacyjnych, co wywołało taki skutek, że ów człowiek i jego rodzina zostali oficjalnie zwolnieni z obowiązku pracy w Niemczech. Hitlerowcy panicznie bali się przeniesienia do siebie zakażonych wszy przechodzących okres inkubacji. Obawa ta stanowiła dla obu lekarzy ważny motyw podejmowania pewnych działań wtedy i później.

Skoro ta pierwsza próba się udała, doszli do wniosku, że tę fałszywą reakcję Weil-Felixa można wykorzystać na szerszą skalę w charakterze broni przeciwko polityce władz okupacyjnych. W owym czasie modne było „lecznictwo pobudzające rozwój białka" i stosowano kilka jego form. Pod pozorem prowadzenia takiego lecznictwa dawali oni „wybranym pacjentom zdradzającym choćby najmniejsze symptomy tyfusu plamistego" owe zastrzyki, pilnie uważając, by ich ilość zgadzała się z okresowością występowania choroby. „Wkrótce liczba zanotowanych przypadków była wystarczająco duża, by teren naszej praktyki (około tuzina wsi) uznać za „objęty przez epidemię", co stwarzało względną swobodę od okupacyjnego ucisku". Prowadzenie podobnego procederu trwało około dwóch lat i to z niezmiennym powodzeniem. Udało się wywieść Niemców w pole wtedy nawet, kiedy w terenie „objętym przez epidemię" dokonał inspekcji oddział sanitarny armii niemieckiej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności podejrzenia poinformowanych przez konfidenta Niemców poszły w niewłaściwym kierunku. Przypuszczali, że polscy lekarze pobierają próbki krwi od osób rzeczywiście chorych, a przedstawiali je jako pobrane od innych osób. Był to więc błąd w założeniu. Być może, pomimo tego wykryliby prawdę, gdyby działając przez zaskoczenie odwiedzali podejrzanych w ich domach. Oni natomiast, bojąc się kontaktu z domniemanymi wszami tyfusowymi, wzywali ich do laboratorium i tam pobierali próbki krwi. Były one zawsze pozytywne, gdyż polscy lekarze i pacjenci mieli dość czasu, by poczynić stosowne przygotowania.

Brytyjskie czasopismo medyczne odczuwa niedosyt szczegółów natury m. in. medycznej czy bakteriologicznej. Nie wyjaśniono na przykład następującego zjawiska. Stopień aglutynacji w przypadku pojedynczego zastrzyku pozostaje niezmienny, podczas gdy w przypadku choroby osiąga różnorodne wartości, czasami bardzo wysokie. Z drugiej strony — następstwem tyfusu plamistego jest znaczna śmiertelność. Tymczasem wszyscy „pacjenci" Łazowskiego i Matulewicza przeżyli. Czyżby Niemcy nie zwrócili na to uwagi? Czy może i tu zostali jakoś wywiedzeni w pole? British Medical Journal postuluje więc, by autorzy tego interesującego medycznego wybiegu opublikowali więcej szczegółów m. in. wyjaśniających dwie te sprawy. „W każdym razie — czytamy w konkluzji artykułu — bardzo dobrze, że to interesujące echo szkaradnej przeszłości nie zostało całkowicie stracone dla nauki".

Oprac. JERZY URBANKIEWICZ

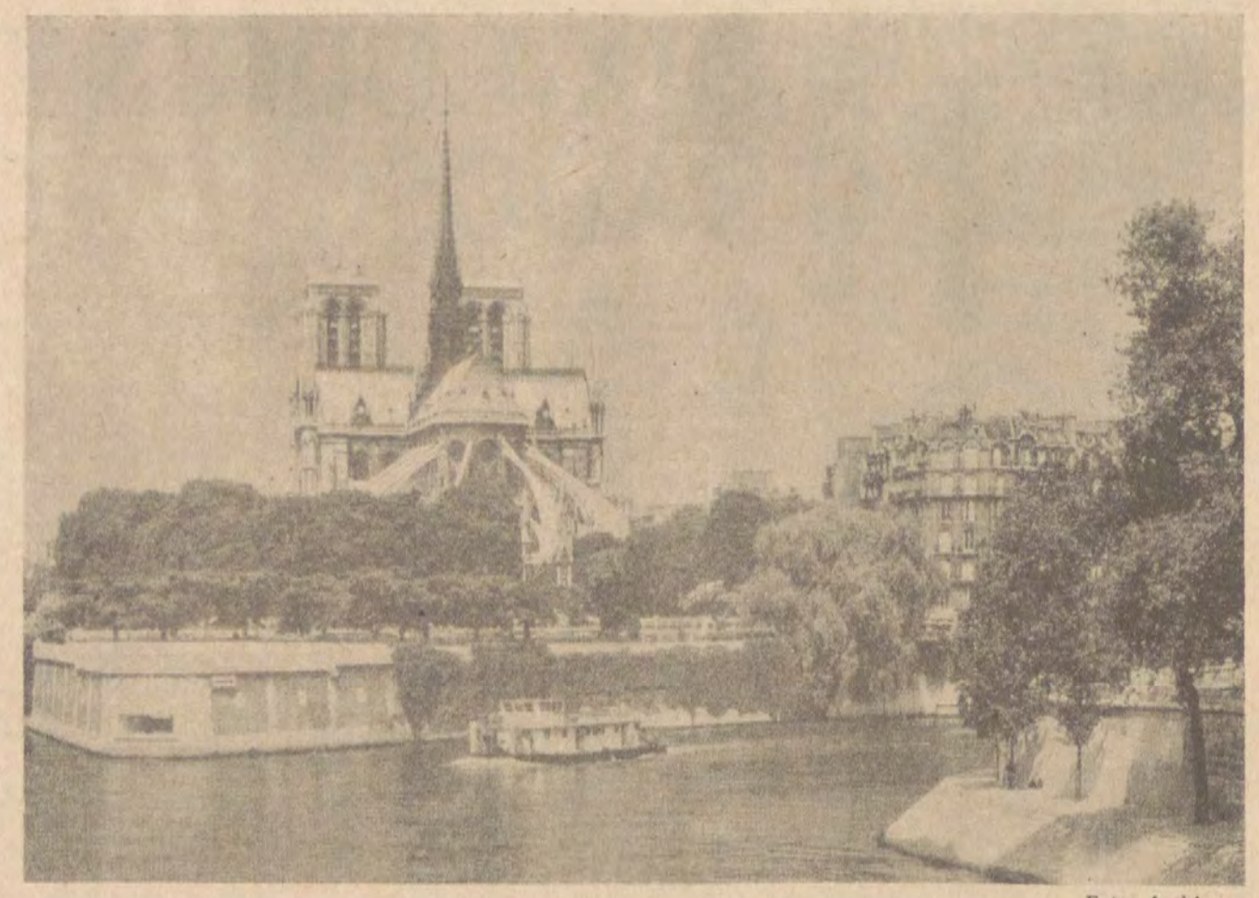

Foto: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF

FRANCUSKA PRZYGODA „PSTRĄGA"

Czy znacie bardziej nudny sposób podróżowania niż jazda nocą i we mgle? I to w dodatku szosą poprowadzoną tak, by podróżnik o tym, że mija piękne Drezno czy przemysłowy Erfurt, dowiadywał się jedynie ze świetlnych drogowskazów...

Są to uroki naszej podróży przez NRD. Autostrada stroni — ku wygodzie kierowców — od miast, a widoczki także i za dnia serwuje raczej usypiające.

Moją relację zacznę więc wiernie według pierwszej strony brudnopisu. A okazja by wyciągnąć notatnik nadarzyła się dopiero na parenaście kilometrów przed granicą NRD z RFN.

W Eisenach właśnie zanotowałem „na wieczną rzeczy pamiątkę" niedbalstwo warszawskiego „Almaturu", który nie zadał sobie trudu uprzedzenia miejscowych hotelarzy o przybyciu naszej 34-osobowej grupy.

Była to już druga bramka strzelona nam „na wyjeździe" przez kochanych rodaków pozostających w kraju. 0:2 do przerwy — chciałoby się powiedzieć... Autorem pierwszego gola był funkcjonariusz łódzkiego Urzędu Celnego, który pieczętując walizy z teatralnymi rekwizytami, zapomniał wręczyć nam drugi egzemplarz dokumentu odprawy celnej. Jeszcze w Eisenach mieliśmy w uszach kazanie celnika ze Zgorzelca...

Mamy zatem kilkanaście już godzin jazdy za sobą, a przed sobą — perspektywę snu w fotelach autokaru. Koniec tego drobnego incydentu (zginie on w powodzi dalszych wrażeń, w takich podróżach każdy nowy, znaczący szczegół pożera wszystkie poprzednie) jest jednak szczęśliwy. Zapowiadana wycieczka „Orbisu" nie dociera do Eisenach o umówionej porze. Nam zaś opłaci się nawet pięć godzin snu.

Tymczasem zebrani w restauracji hotelu „Thüringer Hof" nad talerzami soljanki, obserwujemy cudowną przemianę tych samych wylysiałych, brzuchatych klezmerów z cygańskiej kapeli w tak zwany big-beat i przysłuchujemy się rozmowom młodych rodaków, którzy tego dnia wrócili z RFN.

Młodzi rodacy są zdecydowanie monotematyczni: rozmawiają pod dyktando przelicznika. A więc najpierw: wydane mareczki na złotóweczki i czy opłaciło się, a potem ciężar volkswagena na ciężar złotóweczek, o który stali się lżejsi w komorze celnej... Od razu widać, że mogą tak w nieskończoność.

Notuję tylko jedno:

— Po tamtej stronie każdego wychodzącego wieczorem z hotelu czeka „kontrola antyterrorystyczna". Nas też nie ominęła. Policjantów nie obchodziły jednak nasze paszporty, tylko twarze...

To samo na niemiecko-francuskiej granicy. Ileż aut przelatuje przez nią, nawet nie zwolniwszy biegu!

Ale za ich kierownicami siedzą tatusiowie. W twarze zagląda się tylko dzieciom. Urząd wyklejony listami gończymi. Z fotografii patrzy ponuro szesnastu terrorystów: „Drin gend gesuchte Terroristen" („Pilnie poszukiwani terroryści").

Najstarszy z nich — Jorgen Lang, urodzony w 1940 roku. Najmłodsza — Adelheid Schulz, rocznik 1955. Parę pań i kilku panów ma po dwie fotografie. Z jednej wygląda osobnik umyty, uczesany, często uśmiechnięty albo w okularach, które jego twarzy nadają wygląd bardziej intelektualny. Dopiero drugie zdjęcie uświadamia, co się porobiło z tych grzecznych dzieci. Włosy zmierzwione, usta zaciśnięte, w oczach buta i wściekłość. Na kilka dni przed napisaniem tych słów przeczytałem, że kolejnej pary nie ma już na wolności. W Szwajcarii policja ujęła Juliane Plambeck (25 lat) i Willy Petera Stolla. (27). Przy fotografiach obojga (a Juliane prezentuje się jako całkiem sympatyczna, uśmiechnięta brunetka) na egzemplarzu listu gończego, który podarował mi francuski celnik, stawiam kolejne krzyżyki.

Strażnicy twarze te znają już chyba na pamięć, jeden rzut oka do wnętrza wozu wystarczy. Natomiast od nas żądają otwarcia bagażników (czy nie przewozimy aby czasem jakiegoś terrorysty — rodzimego chowu...?) i tylko po wyładowanej kwiczącymi prosiętami ciężarówce spojrzenie celnika przesuwa się obojętnie.

W Republice Federalnej byliśmy o świcie. Krajobraz nagle się rozjaśnił, z przyjemnością obserwuję słońce wzbierające czystą czerwienią za pasmem wzgórz. Ranek mroźny, lecz pejzaże wcale nie zimowe, mimo szronu kolory: brązowy, czerwony, żółty.

Podróż zapowiadała się więc sympatycznie, dopóki nie wjechaliśmy głębiej w Bundesrepublikę. Ściślej, dopóki nie pojawił się pierwszy drogowskaz: „United States Air Force", niedługo po nim „US Army" i inne w tym guście białe tablice, zapowiadające a to komendę, a to obóz wojskowy, magazyny, lotniska itp. Przylegające do autostrady tereny wojskowe ciągnęły się czasem na przestrzeni wielu kilometrów. Mijając jedno z lotnisk trafiliśmy akurat na wcale malowniczy zrzut spadochronowy.

Nieprzyjemne wrażenie zacierają inne widoki. Pod Frankfurtem obserwuję pojawiające się na niebie samoloty. Co minuta startują z jednego z największych w Europie lotnisk. Zaczęła się Hesja: Ren jak płynął, tak i płynie spokojnie, a na stokach nasłonecznionych wzgórz rozłożyły się winnice. Drogowskaz po raz pierwszy informuje o odległości dzielącej nas jeszcze od Paryża: 490 kilometrów.

Dopiero na 40 kilometrów przed francuską granicą krajobraz się uspokaja. Gęsty las, spokój, cisza. Samoloty w górze nie huczą, spadochroniarze nie skaczą, żadne tablice potęgą NATO nie straszą... Odczuwamy już bliskość „słodkiej Francji", może ona zaoszczędzi takich widoków?

Las zostaje w tyle i zaczyna się wielki przemysł. Wiadomo: Saara. Na niedużym obszarze, przy samej granicy, jeden z bardziej uprzemysłowionych rejonów świata. Miliony ton węgla (w poważnej części jest to węgiel koksujący). Miliony ton stali, surówki i wyrobów walcowanych. Jest tu wszystko co konieczne dla rozbudowy ciężkiego przemysłu. Z wyjątkiem rudy żelaza. Tę niemieccy przemysłowcy otrzymują z sąsiedniej, francuskiej dziś Lotaryngii, w zamian za produkty okręgu Saary, w większości eksportowane właśnie do Francji.

Każdy uczniak wie, że rywalizacja o te bogactwa, którymi dzisiaj mocarstwa dzielą się między sobą wreszcie zgodnie, zaczęła się na długo przed I wojną światową, wie też, jakie były dalsze losy tej walki. Zaoszczędzę więc czytelnikom powtórki z historii.

Urzędnik na granicy sprawia wrażenie zadowolonego, że wpuszcza do swego kraju Polaków. Zawsze przyjemniej zobaczyć uśmiechniętą twarz niż wielkie colty zachodnioniemieckich strażników. Ci witali nas na granicy pytaniem: „Broń? Narkotyki?". Za to odprawa trwała krócej; Francuzi marudzą.

W zmiennym krajobrazie Lotaryngii uchwytne są analogie: a to z Podkarpaciem, a to znowu z Mazowszem. Raz autostrada przypomina dobrze rozwałkowany placek, kiedy indziej gnie się niczym trzcina. I pomyśleć, że przez tyle lat ta właśnie spokojna kraina była kością niezgody dwóch mocarstw, zapalnikiem wyniszczających wojen, podczas których wciąż przechodziła z rąk do rąk. O tym, że nie jesteśmy w Polsce przypomina także brzęk „franciszków", którymi opłacamy możliwość korzystania z autostrad i kubek gorącej, prawdziwej kawy z automatu.

Trasa wiedzie przez Reims. W przelocie przez miasto mignęła słynna katedra Notre Dame, filmowiec zdążył złapać ją w obiektyw.

Paryż. Emocje, nie mniejsze niż w czasie piłkarskiego meczu, towarzyszą zmaganiom kierowców z podparyską obwodnicą, szaleńczo wezbraną tysiącami aut wracających z weekendu. Iluminacje Paryża nie pozwalają oderwać oczu, już na przedmieściach daje się odczuć przytłaczającą potęgę tego miasta. Paryska obwodnica jest rzeką o dwóch przeciwnych prądach. Jeden z nich (który i my zasilamy) to nurt świateł czerwonych, podczas gdy z naprzeciwka suną ku nam setki świateł żółtych. Nurt żółty — to samochody jadące z północy na południe Paryża, z okolic Lasu Montmorency, Clichy, Bobigny.

Giniemy w przepaścistych tunelach, by za chwilę mieć Paryż pod sobą. Jadąc nurtem czerwonym, wśród jękliwych klaksonów, zataczamy łuk ponad północnym Paryżem, usiłując skierować się na zachód, przez Lasek Buloński i Wersal.

Moment nieuwagi uczonego w planie Paryża przewodnika, a byśmy niechybnie zaplątali się w tej gęstwinie odpływów i dopływów, odgałęzień i bocznic wielkiej, coraz jaskrawszej w narastającym mroku, żółto-czerwonej rzeki. W końcu jednak jakoś przeciskamy się: tłok rzednie. Jesteśmy na Autoroute de Normandie. Paryż wielkodusznie wypuścił nas ze swych labiryntów.

W tym miejscu osobista dygresja. Poproszono mnie, bym był kronikarzem tej podróży. Obowiązek kronikarza zmusza mnie zaś do porzucenia barwnych opisów. Mniemam, iż spośród różnych form opowiadania, dziennik jest formą chyba najbardziej wypróbowaną. Toteż najlepiej chyba zabezpieczy skrupulatność relacji i obiektywizm spojrzenia. Rozpoczynając go w tej chwili rezerwuję sobie wszelako miejsce na wspomnienie bardziej osobiste, subiektywną refleksję czy ocenę.

Z DZIENNIKA PODRÓŻY

Niedziela, 4 grudnia 1977. Jest wpół do jedenastej wieczór, gdy wjeżdżamy do Caen. Za nami około 1500 kilometrów.

Nikt z nas nie był tu wcześniej, są więc kłopoty, zwyczajne gdy się szuka kogoś w obcym mieście, nie mając w ręku planu, późnym wieczorem. I gdy w dodatku napotkani mieszkańcy wykazują się dość marną orientacją w układzie ulic swego miasta. W końcu jednak, jak to często bywa, okazuje się, że zaparkowaliśmy na placyku przy skrzyżowaniu ulic, z których jedna to właśnie owa poszukiwana rue Caumont z adresem dyrektora teatru „La Tripe de Caen" — pana Jean-Pierre Laurenta...

Zamieszkamy jednak nie w Caen, lecz w odległym od niego o jakieś 15 kilometrów Tailleville. Tu, na dziedzińcu pałacyku, siedziby letnich kolonii, witają nas aktorzy uniwersyteckiego teatru. Jest polska flaga, są krótkie przemówienia. I serdeczna atmosfera, która udziela się wszystkim i będzie nam towarzyszyć nawet w najtrudniejszych chwilach, do końca.

Poniedziałek, 5 grudnia. W Caen od pierwszych chwil cieszą oczy zespołu setki afiszy porozklejanych na drzwiach sklepów. Tutejszy zwyczaj nakazuje, że nawet najbardziej burżujski sklepik udostępnia szybę swych drzwi miastu, które ogłasza w tym miejscu swoje kulturalne atrakcje. I tak w setkach małych sklepików. Afisze w paru wersjach, nie licząc tych które przywieźliśmy (wśród nich walorami plastycznymi przyciąga oko plakat „W poszukiwaniu koloru").

Dzięki energicznym staraniom prof. Waldemara Błońskiego z Instytutu Slawistyki Uniwersytetu w Caen (współorganizatora naszej wizyty) powstał jeszcze jeden interesujący plakat. Jego autorem był Mieczysław Górowski, młody plastyk z Krakowa, którego wystawę plakatów zorganizował w grudniu Instytut Slawistyczny.

Obszerne zapowiedzi wizyty łódzkich artystów ukazały się w tutejszej prasie. Dziennik „Ouest France" opublikował pełny program naszej wizyty wraz z krótkimi charakterystykami przedstawień i recenzją z wystaw polskiego plakatu we foyer Teatru Miejskiego i w Bibliotece Uniwersytetu.

Dziennik podkreślił fakt, że wizyta „Pstrąga" jest pierwszym etapem wymiany teatralnej między uniwersytetami w Caen i w Łodzi. Wymiana ta, zdaniem dziennikarza „Ouest France", jest świadectwem ożywienia kulturalnego w środowisku akademickim, dowodem wychodzenia z izolacji. Artykuł zilustrowano zdjęciami z przedstawień „Pstrąga" i reprodukcjami plakatów.

W podobnym stylu utrzymana jest informacja, którą w grudniowym numerze zamieścił magazyn kulturalny, miesięcznik „Le mois de Caen". Przedstawił on bliżej dotychczasowe sukcesy i osiągnięcia „Pstrąga".

Celowo poświęcam więcej miejsca omówieniu tych publikacji. Warto bowiem podkreślić wierność, z jaką tutejsze środki masowego przekazu — prasa i telewizja, towarzyszyły wszystkim naszym francuskim spotkaniom, odnotowując skrupulatnie każdy spektakl, oficjalną wizytę u władz i imprezy towarzyszące I to nie tylko w Caen, lecz i w pozostałych miastach Calvadosu, które odwiedzaliśmy.

Organizatorzy stanęli na głowie i oto, zaraz na początku pobytu, oba zespoły — „Pstrąga" i Teatru im. Jaracza, mają do dyspozycji nowoczesny, jeden z piękniejszych — jak nas się tu zapewnia — teatrów Francji: Teatr Miejski w Caen.

4 grudnia na jego scenie trwają — pod wodzą reżysera Krystyny Piaseczney — gruntowne przygotowania do dwóch wieczornych przedstawień. Najwięcej problemów nastręcza przystosowywanie inscenizacji „W poszukiwaniu koloru" do warunków teatru pudełkowego, tradycyjnej sceny.

Theatre Municipal w Caen pełni różne funkcje. 17 grudnia na jego scenie prezentowano „Mszę" Rossiniego. Oprócz koncertów filharmonicznych — występy operetkowe (L'Atelier Lyrique prezentuje tu „Krainę uśmiechu" Lehara). Teatr dramatyczny daje sztukę Sartre'a. Scena udziela także miejsca kabaretom, variétés i ... teatrom lalkowym.

Nim — za tydzień — opiszę przyjęcie polskich przedstawień, pragnę wyjaśnić, że zrobiono sporo, aby przygotować francuskiego widza do odbioru niełatwych przecież spektakli. Chcąc przybliżyć ideowe i artystyczne założenia przedstawień, przygotowano w języku francuskim streszczenia sztuk i tłumaczenia fragmentów scenariuszy.

Część tekstu w spektaklu „W poszukiwaniu koloru" (w wykonaniu „Pstrąga") aktorzy mówili po francusku. Dodajmy do tego film poświęcony Łodzi, jej uniwersytetowi i teatrowi „Pstrąg" (zrealizowany przez łódzką telewizję), z komentarzem w języku naszych gospodarzy. Film ten prezentowano przed każdym przedstawieniem „Pstrąga". Również przed prezentacją widowiska „O naprawie Rzeczypospolitej", zrealizowanego w ramach sceny eksperymentalnej Teatru im. Stefana Jaracza, francuscy widzowie otrzymywali jego omówienie wraz z przekładem fragmentów scenariusza.

Piszę o tym dlatego, że jeszcze przed wyjazdem z Łodzi, pojawiały się w środowisku głosy, podważające sens prezentowania tej ostatniej sztuki we Francji.

Przewidywania sceptyków, jakoby spektakl ten nie miał szans dotarcia do francuskich widzów, nie sprawdziły się. Co więcej, dobrze się stało, że pokazano ten spektakl Polonii.

Oczywiście, nie wszystko dało się przewidzieć. Dyskusyjne okazały się dla tamtejszej widowni niektóre fragmenty inscenizacji. Lecz co się tyczy tekstu: nawet największy sceptyk poddałby się widząc, w jakim skupieniu francuska widownia słucha mowy płynącej ze sceny. Zdaje się, że fascynacja wartościami brzmieniowymi języka jest obopólna. Ulegaliśmy zresztą przecież w swoich czasach „modzie francuszczyzny", także w języku. O zainteresowaniu Francuzów naszą mową opowiem następnym razem.

U PRZYJACIÓŁ

* * *

Niedawno minęło 50 lat od ukazania się powieści Aleksandra Fadiejewa „Klęska". Z tej okazji prasa radziecka przypomina okoliczności tego ważnego wydarzenia. Książka ukazała się w leningradzkim wydawnictwie „Priboj", w serii „Nowości Literatury Proletariackiej". Jeszcze w tym samym roku, tj. 1927, została wznowiona. Krytyka ciepło przyjęła utwór młodego pisarza. Chwalił ją M. Gorki, również wysoko ocenił A. Łunaczarski. Do tej pory powieść Fadiejewa wydana była w Związku Radzieckim 242 razy, przekładana na 63 języki, w łącznym nakładzie 13 milionów egzemplarzy.

* * *

Nakładem wydawnictwa „Sowietskaja Rossija" ukazała się monografia twórczości radzieckiego prozaika, Jurija Bondariewa, znanego w Polsce z wielu przetłumaczonych powieści, m. in. „Gorący śnieg" (książki również sfilmowanej). Autorem monografii jest Oleg Michajłow.

Głównym przedmiotem jego badań — jak pisze „Litieraturnaja Gazieta" — są postawy obywatelskie i moralne pokolenia lat wojennych i ich odbicia w twórczości J. Bondariewa. Artystyczną kronikę Wielkiej Wojny Ojczyźnianej trudno sobie dziś wyobrazić bez pięknych kart jego epickiej prozy, niesłychanie autentycznej w ukazywaniu surowej żołnierskiej powszechności wojny; przy tym prozy zadziwiająco humanistycznej i poetyckiej. Autor monografii w sposób pełny przedstawia filozoficzną tkankę twórczości J. Bondariewa, wizerunek pisarza i całej jego generacji.

* * *

W Jałcie, podobnie jak w Moskwie, Taganrogu, Melichowie, Aleksandrowsku Sachalińskim, istnieje muzeum Czechowa, zwane popularnie Białą Daczą. 15 lipca każdego roku, obchodzi się tu uroczyście rocznicę śmierci autora „Trzech sióstr". Codziennie muzeum zwiedza około 300 osób.

* * *

W ubiegłym roku w wytwórniach radzieckich powstało 150 filmów fabularnych, około 100 telewizyjnych, 500 dokumentalnych oraz 1200 naukowo-dydaktycznych. Przeciętnie każdy obywatel Kraju Rad ogląda rocznie 20 filmów. (Dla porównania — Francuz zaledwie 4). Przewiduje się, że w bieżącym roku liczba widzów w salach kinowych przekroczy 5 miliardów. Jest to możliwe, gdyż w Związku Radzieckim istnieje odpowiednia ku temu baza, ponad 154 tys. sal kinowych, w tym 8400 kin objazdowych, które docierają do najbardziej odległych zakątków kraju. Cena biletu jest niewielka i wynosi od 25 do 75 kopiejek.

* * *

Niedawno w mieście Gorki odbyła się uroczysta premiera opery „Stiepan Razin" Aleksandra Kasjanowa. Jest to interesujące wydarzenie już choćby ze względu na osobę autora, twórcy obecnie 86-letniego. Kasjanow, mimo swego wieku, nieustannie pracuje. (Obecnie opera jest całkowicie nową wersją opery pod tym samym tytułem, wystawionej przed 30 laty). Kończy pracę nad swym nowym dziełem, operą „Foma Gordiejew", której libretto oparte jest na powieści Gorkiego.

* * *

Kirgizja należy do tych nielicznych krajów, gdzie tradycja ustnego przekazywania narodowych legend i eposów przetrwała do naszych dni. O Kirgizach wspominają źródła historyczne już w pierwszych wiekach naszej ery, ale do czasów Rewolucji Październikowej nie posiadali literatury pisanej. Zastępowały ją, przekazywane z pokolenia na pokolenie legendy, byliny, eposy mówione. Do najsłynniejszych należy „Manas", objętościowo wielokrotnie przewyższający „Iliadę" i „Odyseję". Jest to swego rodzaju historia narodu od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy, a zarazem księga przypowieści filozoficznych, opis tradycji i obyczajów.

Ostatnim z plejady wielkich pieśniarzy był już nieżyjący Sajak-baj Karałajew, zwany za życia Homerem XX wieku. Znał on na pamięć około stu tysięcy strof eposu. By opowiedzieć cały poemat potrzebowałby sześciu miesięcy nieprzerwanej recytacji. Oczywiście na spotkaniach ze słuchaczami recytował tylko wybrane fragmenty. Dziś, to wielkie dzieło narodowe jest zapisane w całości i było wielokrotnie wydawane w języku kirgiskim, a w niedalekiej przyszłości ma się ukazać pełna, pięciotomowa wersja rosyjska. Jednak tradycje opowiadaczy — „manaseczów" nie zaginęły. Jest ich wielu, otoczeni są powszechnym szacunkiem, na swe wieczory recytatorskie przyciągają setki słuchaczy.

NIEBEZPIECZNA POLITYKA MINISTRA LEBERA

Liczne fakty, jakie miały ostatnio miejsce w Republice Federalnej Niemiec świadczą o aktywizacji neofaszystowskich i odwetowych organizacji w RFN, jak również o konsolidacji nazistów starego wzorca, w tej liczbie byłych SS-owców, którzy tylko w okresie września tego roku zorganizowali 118 prowokacyjnych zebrań. Nazistowskie idee padają na podatny grunt także w wojsku. Społeczeństwo RFN z rosnącym zaniepokojeniem obserwuje to nasilanie prawicowych tendencji w Bundeswehrze, próby ekshumacji nazistowskiej ideologii, tendencji odwetowych, nienawiści do ZSRR i pozostałych krajów socjalistycznych oraz do demokratów we własnym kraju.

Tym niebezpiecznym zjawiskom towarzyszy aktywizacja militarystów, którzy żądają wciąż nowych asygnacji na wojsko, forsują wyścig zbrojeń nawołując do uzbrojenia Bundeswehry w najnowocześniejszą broń, z bronią jądrową włącznie. Podstawą reakcyjnych tendencji w szerokich kołach zachodnioniemieckiej armii jest ideologia antykomunizmu, którą wojskowi oraz bliscy im politycy wykorzystują do wyobrażania Związku Radzieckiego jako potencjalnego agresora, uzasadniając w ten sposób coraz większe wydatki na zbrojenia. Tę politykę usprawiedliwiania wydatków na wyścig zbrojeń atakują oficerowie Bundeswehry. Poseł Bundeswehry z ramienia SPD, Erwin Horn, pisał niedawno w gazecie „Frankfurter Rundschau": „Widziałem wiele razy, jak na dużych zebraniach w Bundeswehrze występujący mówcy nazywali politykę odprężenia, którą prowadzi rząd RFN, idiotyzmem, nonsensem itp. Linią przewodnią tych wystąpień jest teza: Bundeswehra powinna prowadzić walkę przeciwko tej „euforii odprężenia", nieustannie uświadamiać zachodnie mocarstwa o sowieckim zagrożeniu, podejmować dalsze wysiłki w dziedzinie zbrojeń i żądać tego samego od innych.

Część wojskowych za cel swojej „misji" uważa nie tylko organizowanie stałej opozycji przeciwko polityce odprężenia — żeby utrzymać atmosferę „zimnej wojny" — lecz uważa także armię za czynnik zapewniający „porządek" wewnątrz kraju. „Zeit" przytoczył wypowiedź pewnego kapitana Bundeswehry: „Bundeswehra jest czynnikiem siły. Jeśli lewica wywoła kiedykolwiek pucz — spotkamy go w pełnym rynsztunku, niezależnie od tego czy będzie zastosowana ustawa o stanie wyjątkowym czy też nie". Cały szereg wytycznych zrealizowanych w ostatnich latach świadczy o tym, iż żołnierza Bundeswehry uczą — wbrew konstytucji — metod tłumienia demonstracji i strajków. Liczne fakty świadczą, że właśnie na przestrzeni ostatnich lat w zachodnioniemieckiej armii wzrosły antydemokratyczne i reakcyjne tendencje. Mówi o tym już choćby samo „dziedzictwo": z 217 obecnych generałów Bundeswehry aż 214 rozpoczynało swoją oficerską karierę w okresie rządów Hitlera. Stąd też w Bundeswehrze nieustanne ciągoty do niemieckiego „żołnierskiego ducha", a reakcyjne koła w armii uważają widać, że nadszedł już czas na jawne odrodzenie starych tradycji Wehrmachtu. W związku z tym szczególne zaniepokojenie postępowej części zachodnioniemieckiej opinii publicznej wzbudzają powiązania armii z organizacjami neonazistowskimi i odwetowymi, a przede wszystkim bliskie kontakty poszczególnych formacji Bundeswehry z „Federacją byłych SS-owców", którą dowództwo Bundeswehry traktuje jako „normalny związek armijny". Należy podkreślić, iż szerokie kręgi zachodnioniemieckiego społeczeństwa dowiadują się zaledwie o znikomej części tych przeróżnych kontaktów i form powiązań.

Dziennik „Blätter für Deutsche und Internationale Politik", ukazujący się w Kolonii, podaje wiele przykładów takich związków. Wiosną tego roku, z okazji kolejnej rocznicy urodzin Hitlera ośmiu podoficerów marynarki wojennej RFN ogłosiło okolicznościowe święto na statku szkoleniowym „Deutchland". Nałożyli brązowe bluzy i wykonane przez siebie opaski z emblematami swastyki, słuchali nazistowskich piosenek i marszów, a także zapisów mów Hitlera. Sąd wojskowy Kilonii dopatrzył się w tym tylko „przejawu złego smaku", karząc winnych pozbawieniem przepustki.

19 września 1974 roku w Aumühle, pod Hamburgiem, duża grupa oficerów Bundeswehry, w pełnym umundurowaniu, brała udział w przyjęciu zorganizowanym na cześć Karla Dönitza byłego admirała nazistowskich Niemiec, następcy Hitlera, zbrodniarza wojennego skazanego na 10 lat więzienia na procesie w Norymberdze. Przyjęcie na cześć Dönitza zorganizował „Związek Weteranów Marynarzy Łodzi Podwodnych" i „Niemiecki Związek Wojennej Floty Morskiej", założony na gruzach b. „Cesarskiego Związku Wojennej Floty Morskiej". Obie organizacje grupują w swych szeregach nie tylko byłych szeregowych marynarzy i oficerów b. hitlerowskiej floty morskiej, lecz także wielu wojskowych marynarki wojennej Bundeswehry.

W 1975 roku, na uroczystościach „Federacji byłych SS-owców" w Giessen, gośćmi byłych SS-owców byli: dowódca wojsk terytorialnych okręgu wojskowego w Giessen, ppłk. Bemke, przedstawiciel Bundeswehry, prezes giesseńskiego oddziału związku rezerwistów, ppłk. Hellduzer, przewodniczący związku rezerwistów, st. feldfebel Pfeif i wykładowca jednej z wojskowych uczelni Bundeswehry, prof. Schubert.

W czerwcu ub. roku, wraz z neofaszystowską organizacją pn. „Młodzi Wikingowie", oficjalna delegacja Bundeswehry wzięła udział w uroczystościach na zamku Stauffenberg, przed pomnikiem poległych lotników eskadry „Immelman". Głównym mówcą na mityngu był b. pułkownik Wehrmachtu, Rudel. W swym przemówieniu sławił on b. reichsministra Rudolfa Hessa, utyskując, iż „dotąd z niezrozumiałych powodów męczy się go w więzieniu w Spandau". W Sondehofen koszary Bundeswehry gościnnie udostępniono na zorganizowanie spotkania „weteranów" 8, 22 i 7 kawaleryjskich dywizji SS. Podczas uroczystości b. oberscharführerowi SS, Fridrichowi Bukowi, wręczono krzyż rycerski, którym wyróżniono go jeszcze w okresie wojny.

Wiele koszar Bundeswehry nazwano nazwiskami byłych nazistowskich generałów. Wiele nazw cuchnie duchem odwetu, przypominając o terytoriach okupowanych przez hitlerowców w latach wojny. Na poligonie NATO w Bergen-Hohe, gdzie odbywają ćwiczenia jednostki Bundeswehry i innych armii NATO, poszczególne sektory poligonów noszą nazwy miast znajdujących się na terytoriach Polski i Związku Radzieckiego. Takie i temu podobne przykłady można by mnożyć w nieskończoność.

Jednym z symptomów tych neonazistowskich dążności są represje wobec żołnierzy nastawionych demokratycznie i antyfaszystowsko. Były pełnomocnik Bundestagu do spraw Bundeswehry, Alexander Haye, pisał w jednym ze swych sprawozdań: „Jeśli już dziś nie uda nam się zmienić sytuacji, to Bundeswehra stanie się państwem w państwie. Tendencja zmierzająca w tym kierunku staje się coraz bardziej oczywista". Świadczy o tym choćby tzw. kapitański raport, złożony przez 30 oficerów Bundeswehry, w którym wskazują oni na „niebezpieczne upolitycznienie" wojska. W raporcie szczególnie dużo miejsca poświęcono „zagrożeniu od Wschodu" i konieczności „zapewnienia nieustannej bojowej gotowości". Demokratyczne i antynazistowskie wystąpienia żołnierzy, jak również kontakty z postępowymi organizacjami są karane. Parę przykładów: 14 dni aresztu otrzymał jeden z żołnierzy 2 kompanii batalionu łączności w Murnau za udział w demonstracji młodzieżowej i niesienie transparentu z napisem: „Niech nigdy nie powtórzy się wojna, niech nigdy nie powtórzy się faszyzm". Miesiąc aresztu otrzymało 5 żołnierzy za udział w antyfaszystowskim wiecu we Frankfurcie nad Menem z okazji 34 rocznicy rozgromienia faszyzmu. Takich przykładów można by podać znacznie więcej.

Jest oczywiste, iż reakcyjne siły RFN, wspomagane przez przeciwników polityki odprężenia, działających na płaszczyźnie antykomunizmu, uważają Bundeswehrę — obok roli jaką odgrywa w NATO — za operacyjną rezerwę na wypadek spięć socjalnych.

JERZY CZECH

Anglicy pod kuratelą wywiadu USA

Jak podaje dziennik „Daily Express", według informacji pochodzących z dobrze poinformowanych kół, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa USA (NAB) zbiera polityczne i ekonomiczne informacje na Wyspach Brytyjskich. Jak poinformował niedawno wojskowy komentator gazety „Daily Express", C. Pincher, Amerykanie szeroko korzystają z urządzeń podsłuchowych przy inwigilacji angielskich działaczy związkowych, członków parlamentu z ministrami włącznie oraz innych osobistości podejrzewanych o sympatyzowanie z komunistami.

Wiadomo, że obecnie działa w Anglii około 70 agentów CIA. Biuro CIA, ulokowane w gmachu ambasady USA, wymienia codziennie informacje wywiadowcze z brytyjską służbą wywiadu, znaną pod nazwą MI-6. Działalność CIA i jej agentów rozrzuconych po całym świecie polega na zbieraniu i ocenie informacji, a następnie na ingerowaniu tam, gdzie godzą one w polityczne i ekonomiczne interesy USA. Z kolei zadania NAB polegają na zdobywaniu wojskowych, dyplomatycznych i handlowych szyfrów różnych krajów, analizie odczytanych informacji i przekazywaniu ich służbom wywiadu USA. Mówi się, iż NAB dostarcza około 80 procent całej informacji wywiadowczej, zbieranej przez amerykańskie służby wywiadu. Podczas gdy CIA działa w sferach: dyplomatycznej i politycznej, NAB utrzymuje ścisłe kontakty z brytyjskimi organizacjami wywiadowczymi i wojskowymi. W Anglii pracuje pięć biur agencji. Jedno z nich mieści się w brytyjskim ośrodku wywiadu radiowego na terytorium Anglii, który formalnie podlega kontroli brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a faktycznie pracuje dla wywiadu angielskiego. Działalność NAB na Wyspach Brytyjskich polega na podsłuchu łączności radiowej między Związkiem Radzieckim i jego sojusznikami. Dotąd nie było tylko wiadomo, iż NAB zajmuje się także podsłuchem całej radiowo- i telekomunikacyjnej łączności, włącznie z podsłuchem milionów prywatnych rozmów telefonicznych w samej Anglii, a także instaluje urządzenia podsłuchowe w mieszkaniach i gabinetach członków parlamentu, aktywistów związkowych, działaczy politycznych i społecznych, których uważa się za „wrogo nastawione" elementy.

Żeby uzasadnić powody takiego mieszania się w wewnątrzpolityczne sprawy zaprzyjaźnionego kraju, używa się demagogicznego argumentu, iż w wypadku wojny „piąta kolumna" w Anglii mogłaby przekreślić plany USA w dziedzinie zapewnienia pomocy militarnej zachodniej Europie. W rzeczywistości jednak całą zebraną informację wykorzystuje się w o wiele szerszym zakresie: stanowi ona główny materiał do mieszania się w sprawy brytyjskiej polityki i przynosi wiele cennych informacji ekonomicznych, ważnych dla amerykańskich kół rządowych i przemysłowych.

(st)

ZASADNE OCZEKIWANIE

Końcowe dni starego roku były na arenie międzynarodowej wypełnione licznymi wydarzeniami. Cały rok zresztą przyniósł liczące się fakty, z których **większość ma dodatni wpływ na układ stosunków między państwami.** Zaliczamy więc minione 365 dni jako wkład w umacnianie i rozwijanie procesu odprężenia.

Związek Radziecki i cała socjalistyczna wspólnota inicjowały i podejmowały wiele pokojowych rozwiązań, zwracając przede wszystkim uwagę na kompleksową realizację postanowień Aktu Końcowego KBWE i powstrzymanie wyścigu zbrojeń.

Najpierw przygotowawcze, a potem zasadnicze spotkanie przedstawicieli państw, które uczestniczyły w helsińskiej konferencji, **jest znaczącym wydarzeniem roku.** O kształt takiego spotkania i rezultaty rozgrywała się wielka batalia. Jeśli bowiem ma ono dobrze służyć idei pokoju i bezpieczeństwa na naszym kontynencie — musi przynieść postanowienia obliczone na pełną realizację Aktu Końcowego. Nie wszystkie koła polityczne, chciały uznać taki, a nie inny sens belgradzkiego spotkania. Miejmy nadzieję, że jego druga, noworoczna faza doprowadzi do pomyślnego finału — tzn. opracowania i przyjęcia dobrych dokumenów.

Wraz z początkiem minionego roku rozpoczęła działalność nowa administracja amerykańska — Jimmy Cartera. Wcześniej kandydat na prezydenta zapowiadał z dziedziny polityki zagranicznej podjęcie głównie problemu rozbrojenia. Niestety — pierwsze miesiące przyniosły nierealistyczne stanowisko USA — próbę rewizji uzgodnień radziecko-amerykańskich z Władywostoku. Oddaliło to możliwość zawarcia nowego porozumienia o ograniczeniu broni strategicznych przed wygaśnięciem starego. Dziś sytuacja jest już inna — **trwają intensywne prace, które z pewnością rychło doprowadzą do oczekiwanego końca SALT II.**

Problem rozbrojenia jest jednakże szerszy — dlatego różne jego aspekty dyskutowane są w licznych gremiach. Rokowania wiedeńskie na temat ograniczenia zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej, jak wiemy, nie doprowadziły jeszcze do zgodnych ustaleń. Pewien optymizm łączy się ze specjalną sesją Zgromadzenia Ogólnego NZ, która będzie poświęcona rozbrojeniu. Kraje socjalistyczne chcą w niej widzieć wstęp do ogólnoświatowej konferencji, od dawna postulowanej przez nas.

W listopadzie ub. roku — w czasie uroczystości 60-lecia Rewolucji Październikowej — **Związek Radziecki zgłosił nową, doniosłą propozycję** — zaniechania produkcji broni jądrowej i stopniowego zmniejszania jej zapasów. Lapidarne hasło: energia jądrowa tylko dla celów pokojowych wyraża intencje wszystkich narodów, które wyścigiem nuklearnym czują się zagrożone i którego wysokie koszty dotkliwie odczuwają. Radziecka propozycja owego radykalnego kroku przyjęta więc została z powszechnym zainteresowaniem.

1978 roku, aby stał się rokiem dalszego odprężenia w stosunkach międzynarodowych, **powinien przynieść postęp w zabiegach o przerwanie spirali zbrojeń, powinien też ideę pokoju i współpracy rozciągnąć na wszystkie kontynenty.**

Niestety — **w minionym roku jeszcze bardziej skomplikowała się sytuacja na Bliskim Wschodzie.** Nieoczekiwane podjęcie separatystycznego dialogu Egipt — Izrael (rozmowy Sadat-Begin w Jerozolimie, a następnie w Ismailii) mocno zróżnicowało kraje arabskie i opóźniło możliwość wznowienia prac przez genewską konferencję pokojową. A przecież tylko na tej drodze, co wykazują wciąż kraje socjalistyczne i co potwierdzają nieudane próby tzw. małych kroków podejmowane w niedalekiej przeszłości, możliwe jest globalne i trwałe rozwiązanie bliskowschodniego konfliktu.

W wywiadzie, udzielonym dziennikowi „Prawda" tuż przed zakończeniem starego roku, Leonid Breżniew podkreślił:

„Nie uważamy bynajmniej, że droga jednostronnych ustępstw wobec Izraela i separatystycznych rokowań z nim — takich jak osławione rokowania przywódców egipskich i izrealskich — prowadzi do celu. Przeciwnie — droga ta od tego celu oddala, stwarza głęboki rozłam w świecie arabskim. Jest to polityka zmierzająca do storpedowania rzeczywistego uregulowania konfliktu, a przede wszystkim do zerwania konferencji genewskiej jeszcze przed jej rozpoczęciem".

W walce o umocnienie procesu odprężenia **liczą się również dwustronne stosunki** między państwami o różnych ustrojach. Zwłaszcza, jeśli rozmawiające strony gotowe są powiększać swój wkład w rozwój tego procesu i rozszerzać współpracę gospodarczą.

Taki sens miały w minionym roku rozmowy na najwyższym szczeblu: Polska-Francja, Polska-Włochy, Polska — RFN i Polska-Stany Zjednoczone. Dwie pierwsze były następstwem wizyt, jakie w Paryżu i Rzymie składał Edward Gierek, trzecia — pobytu Helmuta Schmidta w Warszawie, czwarta — Jimmy Cartera, który swą podróż do kilku krajów rozpoczął od Polski. Nie wnikając w szczegóły można każdy z tych dialogów scharakteryzować następująco: **z Francją** będziemy pogłębiać, uznane już za modelowe między państwami o różnych ustrojach, bliskie stosunki na wielu płaszczyznach, **z Włochami** rozszerzymy współpracę, przywracając ich dawne miejsce w handlu z nami, **z RFN** — nastąpi rozwinięcie procesu normalizacji — tak ważnego dla procesu odprężenia, **z USA** — wzmocnią się kontakty na polu gospodarczym.

Przypomnieliśmy tylko niektóre z wizyt — **rok 1977 gęsto zapisał kronikę polskiej aktywności.** Np. na zakończonej dopiero XXXI sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ byliśmy autorami lub współautorami ponad 20 rezolucji. Aktywność ta przejawiała się także bezpośrednimi kontaktami i rozmowami. Pożytek z nich dla kraju i jego rozwoju — zgodnie z podstawowym celem naszej polityki zagranicznej, aby zapewnić zewnętrzne warunki wzrostu sił Polski.

Starym zwyczajem postawmy na zakończenie powtarzające się pytanie: **czego oczekujemy po nowym roku?**

Spośród wszystkich problemów międzynarodowych najpilniejszym jest **problem rozbrojenia.** Czas — jak to powiedział Leonid Breżniew — przejść od rozmów na ten temat do faktycznego rozbrojenia. Jeśli w tej dziedzinie dokonany zostanie rzeczywisty postęp — odprężenie polityczne otrzyma mocne wsparcie, pewniejsi będziemy pokoju, a narody korzystnie odczują redukcję wysokich wydatków na militaria w budżetach państw. Są warunki po temu, aby to powszechne życzenie stało się faktem.

W. SŁAWSKI

BOSO, ALE W OSTROGACH

Swoistą sensacją była dyskwalifikacja znakomitej narciarki Anne-Marie Proel-Moser ze względu na... strój. Nie o to — oczywiście — chodziło, że ubrała się na zawody w strój urągający dobrym obyczajom. Ale o to, że jej super doskonały strój dopomógł w zwycięstwie. Sędziowie narciarscy zamienili się w sędziów sportowej mody i orzekli, że strój Anne-Marie Proel-Moser nie tylko ułatwia jej pokonywanie oporu powietrza, co przyczynia się do zwiększenia szybkości, ale w razie upadku grozi narażaniem jej zdrowia na szwank. Po prostu zmniejsza też tarcie śniegu i może przy upadku dojść do bardzo przykrych konsekwencji.

Sportowcy od dawna szukają pomocy w technice, chemii i włókiennictwie. Nic nowego. Już w Innsbrucku saneczkarze NRD szokowali strojami niemal kosmicznych pilotów, mając nawet hełmy w kształcie kropli wody, sprawdzane uprzednio w tunelach aerodynamicznych. Również sprinterzy kolarscy występowali w Wenezueli w nowych rodzajach strojów, przy których tak poszukiwane przez naszych kolarzy jedwabne koszulki okazują się staroświecką starzyzną.

Dziś o rekordach, o sukcesach sportowych, o zwycięstwach decydują już tylko ułamki sekund. Mierzy się je zresztą też przy pomocy elektronicznych urządzeń. Co byśmy nie robili, w epoce rewolucji technicznej technika będzie szturmowała sport. Rzecz chyba tylko w tym, że nie wszystkich stać na takie techniczne ekstrawagancje. W tej sytuacji wydaje się, że nie wydziwianie i postępianie tych, co szukają pomocy w technice, korzystają z coraz to lepszego technicznie sprzętu, powinno być metodą postępowania, a ustalanie takich norm i regulaminów, aby wszystkim dawały jednakową możliwość startu, aby startujący w jednakowych warunkach mogli wykazywać się przede wszystkim swoimi umiejętnościami. Takie przepisy oczywiście musiałyby być co jakiś czas nowelizowane. Bo teraz na przykład każdy właściwie może szyć sobie kostiumy z czego tylko zechce i dyskwalifikowanie go za to jest co najmniej dyskusyjne.

My też zresztą próbowaliśmy startować w technicznej konkurencji i nasi saneczkarze wystąpili na ostatniej olimpiadzie zimowej w rewelacyjnych strojach. Wprawdzie zwycięstwa one im nie przyniosły, ale efekt był. Wszystkich ponoć zatykało aż od zapachu acetonu unoszącego się wokół eksperymentalnie ubranych saneczkarzy, a dziwiło ich też odpadanie płatami farby z tych strojów. Niektórzy byli nawet gotowi podejrzewać, że to taki specjalny chwyt taktyczny, mający zmylić przeciwnika. Taka zasłona dymna z... acetonu.

Ostatnio występujemy z nowym chwytem taktycznym. Do Konkursu Czterech Skoczni staje dwóch naszych reprezentantów: Tadeusz Pawlusiak i Józef Tajner, w tym jeden bez nart. Nikt nie wątpi w to, że w tym konkursie nie odniesiemy żadnych większych sukcesów, poza tym, że zamanifestujemy swoją tam obecność. Ale za to w jakiż ułański sposób. Boso, ale w ostrogach...

Tadeusz Pawlusiak dysponował bowiem jedną parą nart do skakania i to kupioną za granicą za własne pieniądze. W czasie skoków na Krokwi w Zakopanem narty złamał, ale do Konkursu Czterech Skoczni zakwalifikował się. Tyle, że bez nart. — Tys piknie! — skomentowali to górale i poszli, aby przy kwaterce gorzałki powspominać dobre czasy, kiedy to skakali Stanisław Maruszarz, Bronisław Czech, Jan Kula, Antoni Łaciak i Wojciech Fortuna.

Kiedy reporter „Expressu Wieczornego" zapytał kierownika dwuosobowej ekipy polskiej na Konkurs Czterech Skoczni, inż. Sylwestra Pancerza: — „Jak więc będzie z nartami dla Pawlusiaka?", ten odpowiedział: — „Jest to rzeczywiście pewien kłopot. Sądzimy jednak, że uda nam się zakupić odpowiednie narty już za granicą".

A jak się nie uda?

Wszystko wydaje się wskazywać na to, że zbytnio nie będzie się czym emocjonować tej sportowej zimy, bo nadal utrzymuje się regres w sportach zimowych. Jedynie hokeiści obiecują jakby, że się tym razem nie dadzą. Ale do konfrontacji czas jeszcze, więc nie przesądzajmy. Niech raczej solidnie trenują.

Pozostaje nam jak zwykle piłka nożna. Na boiskach wprawdzie spokój, ale za to wszyscy z niepokojem oczekują losowania do Mistrzostw Świata 1978. Kogo też nam los da za rywali? Póki co, wybiera się najlepszych piłkarzy. W kraju zasłużenie triumfuje Grzegorz Lato. W tradycyjnej ankiecie „France Football" — Allan Simonsen z Borussi. W europejskiej dziesiątce najlepszych nie ma ani jednego Polaka. Zresztą i „Przegląd Sportowy" typując najlepszą jedenastkę Europy Jana Tomaszewskiego i Grzegorza Lato przewidział zaledwie do... rezerwy. Z tym tylko, że w tej jedenastce nie ma Allana Simonsena. Bywa i tak.

BOGDA MADEJ

EDWARD KOPCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I MEDYCYNA

Ośrodek Zdrowia w Dębeckiej Woli na pierwszy rzut oka wzbudzał zaufanie. Z uwagi na położenie, równie dobrze, mógłby być siedzibą leśniczówki. Usytuowany jakieś pół kilometra za wsią, tuż pod borem, zbudowany z białej sylikatowej cegły, ogrodzony drucianą siatką na solidnej podmurówce, odcinał się jasną plamą na tle ciemnej ściany wysokich drzew.

Nowy wiejski ośrodek zdrowia.

Michał spojrzał i uśmiechnął się, a doktor Zawadzki, dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej, przyjął ten uśmiech z widocznym zadowoleniem.

— Podoba się panu, panie doktorze?

— Tak, przyznaję, nawet bardzo. Pierwsze wrażenie jest przyjemne.

— Drugie nie będzie gorsze. Chodźmy.

Zostawili służbowego fiata z kierowcą i podeszli do furtki. Manipulując kluczem w zamku, Zawadzki mówił:

— Odebraliśmy ośrodek dwa tygodnie temu, trzy miesiące przed planowanym terminem (furtka się otwarła).

— W kraju jest jakiś zdrowy rozmach, wszyscy gonią, nie zauważył pan? — powiedział Zawadzki...

Weszli do środka i Michał zauważył:

— Dobre wyposażenie.

— Tak, dobre i nowoczesne. Fotel elektryczny, nazwa jak z amerykańskiego kryminału, ale podobno świetny. Coś się tam przyciska i sam idzie w górę i na dół. Jest i wiertarka turbinowa, ma diabelskie obroty, wierci się w zębie i to podobno nie boli.

— Wierzy pan dyrektor?

— Wierzę na słowo, sam nie chce sprawdzać.

Roześmiali się i poszli dalej. Zawadzki otworzył drzwi po drugiej stronie i objaśnił:

— Tu jest poczekalnia dla dzieci, a tu poradnia D.

— Jest wszystko, co potrzebne — stwierdził Michał.

— A jest, jest. Centrala Zaopatrzenia Lekarskiego miała wyjątkowo wszystko na składzie, wystarczyło tylko zamawiać i płacić.

Zawadzki otworzył kolejne drzwi.

— Tu jest gabinet zabiegowy, jeżeli czegoś brakuje w wyposażeniu, to tylko drobiazgów. Wystarczy, że pan się rozejrzy i zgłosi nam braki, a szybko podrzucimy, co trzeba.

Zawadzki był wyraźnie zadowolony.

— Muszę się panu pochwalić, że nasz centralny magazyn jest nieźle zaopatrzony. Ale chodźmy już do pana gabinetu.

Gabinet lekarski miał około 20 metrów kwadratowych powierzchni, ściany w kolorze seledynowym, jedno duże okno.

— Lubię seledyn — rzekł Michał.

— To się cieszę. Jak pan znajduje urządzenie?

— Jest chyba wszystko. Biurko, leżanka, fotel ginekologiczny, szafki.

— A tu jest poczekalnia.

Zawadzki otworzył drzwi gabinetu.

— Duża i przestronna.

Wyszli z gabinetu do poczekalni i Michał zorientował się, że są teraz w lewej części korytarza, który tutaj się rozszerzał i miał formę kwadratu. Były tu drewniane schody wiodące na górę.

— To chyba schody do pomieszczeń mieszkalnych.

— Tak, chodźmy tam, bo mieszkanie to rzecz wcale niebagatelna.

Drewnianymi schodami, politurowanymi na kolor dębu weszli na piętro.

— Dla pana, panie doktorze, są tu trzy pokoje z kuchnią, dla stomatologa dwa i pokój dla pielęgniarki.

— Tak jak w wojsku — zauważył Michał. — Im wyższy stopień, tym większe honory.

— Czy trzy pokoje nie urządzają pana?

— Zupełnie wystarczą, nie mam dużych wymagań. Stomatolog już jest?

— Nie, nie ma kandydata. Daliśmy ogłoszenie w „Służbie Zdrowia" i mamy nadzieję, że niebawem ktoś się zgłosi.

— Jestem więc pierwszy? A co z pielęgniarką?

— Daliśmy również ogłoszenie, na pewno będą jakieś oferty, bo szkolimy ich coraz więcej, nawet na naszym terenie mamy dwie szkoły.

— A rok szkolny kończy się.

— Tak, ale tutaj chciałbym dać panu doświadczoną pielęgniarkę.

Widząc, że Michał rozgląda się po mieszkaniu, Zawadzki zaproponował:

— Panie doktorze, muszę wpaść do sąsiedniego ośrodka, do doktora Kowalca, zajmie mi to nie więcej niż godzinę. Niech pan się tu rozpatrzy, obejrzy sobie wszystko, również otoczenie. Co pan na to?

— Zgoda, panie dyrektorze, rozejrzę się tutaj, muszę przecież podjąć decyzję.

— Najlepsze są szybkie decyzje. Zapewniam pana, że będzie tu panu dobrze. Spieszyliśmy się z ośrodkiem, by zdążyć na lipcowe święto, na trzydziestolecie. Chciałbym, by za miesiąc, dwa, ośrodek już pracował, by wszystko tu grało.

Zawadzki odjechał, a Michał wciąż jeszcze słyszał jego słowa: Będzie tu panu dobrze, spieszyliśmy się, by zdążyć na trzydziestolecie. Trzydziestolecie państwa jest również jego trzydziestoleciem — studiów medycznych i pracy w zawodzie lekarza. Dwa trzydziestolecia...

Przed miesiącem wniósł sprawę do sądu. Sprawę o rozwód. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa zdecydował się rozstać z Barbarą i zacząć życie jakby od nowa. Rozstanie się z Barbarą to również odejście od dzieci — od dwudziestoletniego syna i siedemnastoletniej córki. Kiedy wniósł sprawę do sądu, odczuł ulgę, wydało się mu, że pozbył się ciężaru nadmiernego ciężaru, który go przygniatał i obezwładniał. Ostatnie miesiące były szczególnie ciężkie. Barbara, ekonomista z wykształcenia, z pasją realizowała swoje: „Drogo cię to będzie kosztować". Jej pasja była mu pomocna. Zawsze był zbyt słaby, by podjąć decyzję. Kiedy już ją podjął, przeżywał chwile przerażenia, ale Barbara pomagała... Nie padło z jej ust jedno słowo o uczuciach, o obowiązku wobec dzieci, o jakiejś próbie ratowania ich życia... Rozliczała tylko ich wspólny dorobek, podział majątku, jakby to było wszystko, co ich łączyło. Majątek. Duże, dobrze urządzone mieszkanie, sporo drobiazgów, biblioteka, samochód, siedemdziesiąt parę tysięcy oszczędności, trochę biżuterii. Mieszkanie opuści, wyniesie z niego walizki, dwie, może trzy. Biblioteka i obrazy to własność dzieci, biżuteria należy do Barbary, książeczki oszczędnościowe gdzieś się zawieruszyły. Nie miał siły, nie chciał stwarzać nowych problemów. „Jeżeli weźmiesz samochód, to aż nadto". Samochód, wartburg, w czwartym roku użytkowania wart był sto tysięcy. Czyżby sto tysięcy było całym jego dorobkiem, dorobkiem trzydziestolecia? Według Barbary i tak jest w korzystniejszej sytuacji. Ma dobry zawód, specjalizację, doktorat... Tak, ma wszystko i... pięćdziesiąt cztery lata. Dopiero, czy już pięćdziesiąt cztery. Mówią, że się dobrze trzyma, że na tyle nie wygląda. Włosy ciemne, nie siwe, można się tym pocieszać...

Michał usłyszał, że ktoś idzie na górę. Wyszedł z mieszkania na korytarz i spojrzał na schody. Wiejska kobieta okryta chustą pokonywała ostatnie stopnie. Widząc Michała mówiła żywo:

— Widziałam, jak jechał samochód zaraz tu przybiegłam, ale... — zająknęła się. — Pana jeszcze nie widziałam.

Michał milczał, a kobieta usprawiedliwiała się:

— Zrobiłam tu porządek, a w ogóle, jak będzie lekarz, mam tu sprzątać.

Spojrzała uważnie na Michała i dodała:

— Pan to pewnie pan doktor?

Michał skinął głową.

— No, to witam pana doktora i życzę najlepiej.

Siedzieli z Zawadzkim w gospodzie przy kawie i kieliszku winiaku. Salka była prawie pusta. O szyby stukały krople deszczu.

— Jaka decyzja, panie doktorze? — Zawadzki bacznie obserwował Michała.

— Ośrodek jest ładnie położony, dobrze urządzony, duży rejon leczniczy...

— I płaca niezgorsza — wtrącił Zawadzki szybko. — Damy panu na początek szóstą grupę, dziewięć godzin pracy, dwa tysiące dodatku specjalnego i ryczałt na samochód, na wizyty domowe i dojazdy do szkół w ramach higieny szkolnej. Razem z dodatkiem za wysługę lat i doktorat to powinno wynieść ponad dziesięć tysięcy, nie mówiąc już o tym, że może pan mieć tu również praktykę prywatną.

— Nie prowadzę w mieście prywatnej praktyki i tutaj też nie zamierzam.

— Wspomniałem tylko o możliwościach. — Zawadzki podniósł kieliszek. — Za pana pracę na naszym terenie.

Michał upił trochę winiaku i rzekł z namysłem:

— Są jeszcze dwie sprawy, panie dyrektorze, o których muszę powiedzieć choćby dlatego, że lubię jasne sytuacje. Otóż szukam nowego miejsca pracy, bo rozchodzę się z żoną...

— Domyślałem się czegoś w tym sensie — wtrącił z uśmiechem Zawadzki.

— Domyślał się pan?

— Tak, pan wybaczy, panie doktorze, będę również szczery. Domyślałem się po prostu dlatego, że kiedy ma się za sobą ponad dwadzieścia lat pracy w jednym miejscu, do tego w dużym akademickim mieście, nie szuka się nowego bez powodu.

— Powód jest jeden. W mojej sytuacji praca tutaj, z daleka od miasta, jest chyba najlepszym wyjściem. Zastanawiam się tylko dlatego, że są to sprawy niełatwe.

Michał zamilkł, a Zawadzki widząc, że jego rozmówca niezbyt chętnie zwierza się, pospieszył z pomocą:

— Wspomniał pan o drugiej sprawie.

— To sprawa pielęgniarki. Chciałbym objąć tę pracę z pielęgniarką, która ze mną tu przyjdzie.

Zawadzki spojrzał na Michała ciekawie.

— Rozumiem.

— Nie, nie rozumie pan, panie dyrektorze! W każdym razie nie tak, jak jest naprawdę. Pielęgniarka, o której mówię, nie ma nic wspólnego z moim domem. — Kiedy postanowiłem się rozejść, nie miałem w stosunku do niej żadnych zobowiązań.

— A teraz pan ma?

— Kiedy otrzymam rozwód, pobierzemy się.

Zawadzki wziął szklankę z kawą do ręki i rzekł spokojnie:

— Mógł pan o tym nie rozmawiać ze mną.

— Uważałem, że będzie lepiej bez niedomówień.

— Może i słusznie, panie doktorze. — Przymrużył oczy. — Ale ja wciąż czekam na pana decyzję.

Michał poczuł ulgę, odetchnął swobodniej.

— Tak, jeżeli zgadza się pan również na pielęgniarkę i jeżeli to wszystko...

— Zgadzam się, a jakże. — Zawadzki wpadł Michałowi w słowa. Będę miał na swoim terenie dwóch fachowych pracowników więcej, a wciąż ich potrzeba. — Położył rękę na dłoni Michała. — Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dla pana pomyślnie. — Zamyślił się. — Czasem życie chce, by je zacząć od nowa...

Chwilę milczeli, potem Zawadzki zauważył:

— Co tam mówią w mieście? Mam na myśli nowy podział administracyjny kraju, nowe województwa.

Michał rad, że nie musi już mówić o swoich kłopotach, chętnie skorzystał ze zmiany tematu.

— Mówią różnie, jedni chwalą, drudzy ganią, jak zwykle u nas. Jedni widzą w tym pociągnięciu oszczędność w administracji państwowej, szerokie możliwości odbiurokratyzowania niektórych urzędów, przez to bliższy kontakt z ludźmi, z ich potrzebami i kłopotami. Pesymiści, a tych u nas nigdy nie brakuje, boją się, że ten podział zrodzi partykularyzm, nowe często nieuzasadnione potrzeby licznych województw, dzikie inwestycje, a koordynacja w skali kraju będzie trudniejsza, bo trzeba będzie godzić potrzeby dużo większej liczby partnerów...

— A co słychać w służbie zdrowia?

— Nie wiem dużo — ciągnął Michał — ale z tego, co słyszę, środowisko ma pretensje do obu Wydziałów Zdrowia i Opieki Społecznej: miasta i województwa. Jeżeli to prawda, mielibyśmy już pierwszy przykład partykularyzmu. Oba wydziały chcą wszystko dzielić na kupki — to moje to twoje.

— To chyba naturalne — zauważył Zawadzki — nowe województwa powinny być możliwie szybko i w rozsądnych granicach samowystarczalne.

— Zgadzam się z panem, ale w tej różnicy zdań chodzi w zasadzie o dwie jednostki o specyficznym charakterze. Mam na myśli Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną i Zespół Wojewódzkich Przychodni Specjalistycznych. Jednostki te sprawują nadzór, konsultują i szkolą. Organizowały się i doskonaliły przez wiele lat, a teraz mają się rozlecieć. Wątpię, czy nowe województwa będą w stanie szybko je odbudować. Brak wyspecjalizowanej kadry.

— Mam już sygnały, że wielu lekarzy przejdzie do nowych województw.

— Szczerze panu tego życzę, ale wcale nie jestem tego pewien.

Zawadzki patrzył ciekawie na Michała, potem spytał:

— Niech mi pan powie, panie doktorze, jak pan sobie wyobraża nowe autonomiczne województwa i te jednostki o charakterze międzywojewódzkim. Czy nie byłoby to w jakimś sensie wtrącanie się w nie swoje sprawy?

— Wcale nie, byłyby to tylko jednostki opiniodawcze, nawet w zakresie nadzoru, ale byłyby cenną pomocą w opiece specjalistycznej i szkoleniu. Takie rozwiązanie dałoby nowym województwom możliwość organizowania bez pośpiechu własnego nadzoru specjalistycznego...

Michał w restauracji czekał na obiad. Przed godziną rozstał się z Zawadzkim. Miał podjąć pracę od pierwszego. Jak to Zawadzki powiedział przy kawie: Czasem życie chce, by je zacząć od nowa.

Nie będzie to łatwe, po pięćdziesiątce, chciał nie chciał, każdy ogląda się za siebie. Ogląda się, rozważa, oblicza swoje szanse, sumuje możliwości. Na ogólny rachunek składają się różne pozycje. Lepsze i gorsze. Zdrowie. Michał uśmiechnął się gorzko. Wygląda dobrze, to prawda, ale co wiedzą ci, którzy patrzą na niego, tylko patrzą? Czy wiedzą o tym, że wracając do domu jest zmęczony, cholernie zmęczony? Nie zawsze, ale często. Czy wiedzą, że po wejściu na trzecie piętro, jeżeli może, jeżeli nikt nie patrzy, odpoczywa, łapie drugi oddech, by wejść i móc mówić spokojnie, bez zadyszki? Czy wiedzą, że w okolicy serca jawi się czasem ból, tępy ból, do zniesienia, ale dokuczliwy? Ból w okolicy serca, nie zamostkiem... Robił elektrokardiogram. Nic nie znaleźli, niby wszystko w porządku. Ale czy mało ludzi z dobrym ekagie wali się z nóg? Lekarka, specjalista chorób serca, uspokoiła go, ale dodała, że należy się oszczędzać. Nie denerwować. Pan wie — mówiła — mamy już trochę lat. — Miała ze czterdzieści, ale z uprzejmości włączyła go do swoich rówieśników — Nie denerwować się i ograniczyć palenie, co najmniej ograniczyć...

Michał zgniótł papieros, przywołał kelnerkę, by zapłacić za obiad. Umówił się z Zawadzkim, że prześle podanie o pracę i potrzebne dokumenty pocztą. Podanie o pracę. Złoży to podanie i rozpocznie pracę w Dębeckiej Woli od pierwszego. Do diabła, to niecałe dwa tygodnie. Czy puszczą go bez okresu wypowiedzenia? Puszczą. Dyrektorem jest kolega, zna trochę jego sprawy, nie powinien robić trudności...

A pomogą szanowni koledzy, ci, co aż piszczą do ordynatury po nim. Nie przypuszczali, że okazja nadarzy się tak szybko, tak niespodziewanie, okazja, której nie wolno przepuścić, dla której warto i trzeba tu i tam się pokłonić, złożyć zapewnienie o swojej lojalności, wspomnieć o zasługach, o wiedzy. O jego następcy zadecyduje konkurs, ale przecież konkurs rozstrzygają ludzie, specjaliści dla miasta wojewódzkiego, członek Komisji Zdrowia i aktyw społeczny. O względy tych ludzi trzeba zadbać, trzeba im się przypomnieć... Dyrektor miałby nie puścić takiego wariata, który odchodzi sam, z własnej nieprzymuszonej woli? „Facet chce odejść już, a pan dyrektor go trzyma, trzeba być ludzkim, trzeba pójść mu na rękę, tym bardziej że w zasadzie tak nie wolno, panie dyrektorze, — nie wolno zbytnio chwalić — ten doktor Biernat był zawsze w porządku, nie miał pan z nim kłopotów. Może tylko był z niego trochę dziwak, nie miał na przykład prywatnej praktyki. Nie miał i czasem nawet publicznie wypowiadał się, że prywatna praktyka w naszych czasach to przeżytek. Mówił również, że lekarz zamknięty w czterech ścianach swego prywatnego gabinetu nie jest w stanie postawić dobrej diagnozy, że potrzebny mu jest do tego cały arsenał nowoczesnej, skomplikowanej aparatury medycznej, którą dysponują tylko społeczne jednostki służby zdrowia. Mówią również — można w to wierzyć lub nie — że na oddziale nie miał łóżek do własnej dyspozycji, że tępił u siebie to, co ogólnie jest przyjęte. Mam na myśli wdzięczność chorych, wdzięczność wypływającą z radości powrotu do zdrowia, jest to czasem bomboniera z czekoladkami, czasem koniak czy kwiaty... Czy chory, panie doktorze, nie może lekarzowi wręczyć kwiatów...?"

cdn.

BITWA O TAJEMNICE

Książka Władysława Kozaczuka zawiera omówienie niemieckiej penetracji wywiadowczej oraz działalności polskiego organu władzy państwowej, którego zadaniem było dostarczenie kierownictwu wojskowemu i państwowemu przesłanek do podejmowania decyzji ważnych dla kierunku polityki wojskowej i zagranicznej państwa, rozpoznanie potencjalnego przeciwnika, a także ochrona przed obcym rozpoznaniem własnych przedsięwzięć obronnych. Zadania te i funkcje spełniał w latach 1922—1939 Oddział II Sztabu Głównego, jako jedyna wojskowa i zarazem państwowa służba informacyjna.

Praca nie pretenduje do szerszego oświetlenia zagadnień międzywojennego dwudziestolecia ani też do wyczerpania wszystkich aspektów działalności Oddziału II. Skupia ona uwagę na kwestii wojskowego rozpoznania Rzeszy Niemieckiej oraz zwalczania wywiadowczo-dywersyjnej penetracji Polski przez niemieckie służby wywiadowcze, których działalność stanowiła ważny element politycznego i militarnego przygotowania wojennej agresji.

Ogólna sytuacja międzynarodowa, a także stosunki wewnętrzne Rzeszy Niemieckiej i Polski zostały omówione tylko w stopniu niezbędnym dla zrozumienia problemów walki wywiadowczej na szerszym tle międzywojennego dwudziestolecia.

Wewnątrzpolityczne aspekty działalności Oddziału II Sztabu Głównego przedstawione zostały fragmentarycznie. Ich wyczerpująca prezentacja, polityczna ocena wymagałyby odrębnych badań. Dotyczy to zwłaszcza udziału części aparatu Oddziału II w zwalczaniu opozycji politycznej wobec sanacyjnych rządów, a także radykalnej lewicy społecznej, w tym ruchu komunistycznym. Były to więc negatywne funkcje klasowe i świadczenia Oddziału II na rzecz utrzymania status quo burżuazyjnego państwa.

Władysław Kozaczuk „Bitwa o tajemnice", Książka i Wiedza, cena 50 zł.

RÓŻEWICZ

Zmarły przed trzema laty prof. Kazimierz Wyka zajmował się głównie literaturą okresu romantyzmu i Młodej Polski. Dużo jednak uwagi poświęcał twórczości współczesnej. W tym zakresie twórczość krytyczną i eseistyczną Profesora reprezentują zbiory rozpraw o współczesnej prozie, poezji i sztuce.

„Różewicz parokrotnie", tom opracowany przez Martę Wykę, wywodzi się z tego właśnie nurtu zainteresowań profesora Kazimierza Wyki.

O swojej książce tak pisze sam Autor: „Opracowanie niniejsze należy do sztuki interpretacji. Piszący te słowa nie jest literaturoznawcą — metodologiem, lecz praktykiem — interpretatorem. A właśnie sztuka interpretacji tym się charakteryzuje, że nie istnieją w niej raz na zawsze ustalone i wszystkich obowiązujące reguły postępowania badawczego (...). Interpretator jest niczym celnik na granicy. Pisarz funkcjonuje na podobieństwo przemytnika. Składa przed celnikiem swoją walizkę łącznie z zawartością. Równocześnie przedkłada deklarację celną podając tęże zawartość. Jeżeli pokrywa się ona z wnętrzem bagażu, nie ma o czym pisać. Zgodne, więc być może — żadne. Pisarz — podobnie jak autentyczny przemytnik, rozpoczyna się od chwili niezgodności między rzeczywistą walizką, a oficjalną deklaracją. Będzie moim celem, w miarę możności, takie niezgodności wykrywać u Różewicza".

Kazimierz Wyka „Różewicz parokrotnie", PIW, cena 30 zł.

STENY Z ULICY MOGILSKIEJ

Książka Stanisława M. Jankowskiego przedstawia dzieje krakowskiej konspiracyjnej fabryki broni opatrzonej kryptonimem „montownia nr 5". W latach drugiej wojny światowej produkowała ona pistolety maszynowe i granaty, wykorzystywane później w akcjach bojowych przez partyzantów oraz żołnierzy oddziałów dywersyjnych.

Autor, krakowski dziennikarz, korzystając z pomocy redakcji „Echa Krakowa", podjął badania nad historią powstania i działalności zbrojowni.

Wiele szczegółów ujawnili ludzie związani z nią w czasie okupacji. Na apel „Echa Krakowa" nadsyłali swoje relacje, dokumenty, zdjęcia, informowali o rozmiarach produkcji i miejscach, gdzie dostarczano gotową broń.

W ten sposób powstała ta książka, będąca wspólnym dziełem autora i byłych pracowników konspiracyjnej fabryki broni.

Stanisław M. Jankowski „Steny z ulicy Mogilskiej", Wyd. Literackie, cena 30 zł.

STRES

Słowu „stres", podobnie jak słowom „sukces", „porażka" czy „szczęście" nadaje się rozmaite znaczenia i dlatego trudno je zdefiniować. Czy stres jest po prostu synonimem cierpinia? Czy jest w nim wysiłek, zmęczenie, ból? Odpowiedź brzmi: i tak, i nie.

Stres jest nieswoistą reakcją organizmu na wszystkie stawiane mu „żądania". Czynniki wywołujące stresy, zwane w terminologii naukowej „stresorami", są rozmaite, lecz wszystkie powodują tę samą w swej istocie biologiczną reakcję stresową. Powoduje również wzrost potrzeby spełniania funkcji przystosowawczych, a tym samym powrotu do stanu normalnego. Żądanie aktywności jako takiej jest istotą stresu.

Stres nie jest czymś, czego należy i czego można unikać. Całkowita wolność od stresu — to śmierć.

Te słowa streszczają mniej więcej sens książki Hansa Seyle „Stres okiełznany". Autor, jeden z pionierów współczesnej medycyny, twórca głośnej teorii stresu, urodził się w 1907 roku w Wiedniu. Studia wszakże ukończył w Pradze, pracę naukową rozpoczął w John Hopkins University w USA, tytuł docenta uzyskał natomiast w McGill University w Montrealu.

Od trzydziestu paru lat jest dyrektorem Instytutu Chirurgii i Medycyny Doświadczalnej w Montrealu. Hans Seyle jest autorem licznych książek, z których bodaj najgłośniejszą był wydany w Polsce 17 lat temu „Stres życia".

„Stres okiełznany" został napisany w roku 1974, w Polsce ukazał się w końcu minionego roku z przedmową prof. Wiktora Degi.

Hans Seyle „Stres okiełznany", PIW, cena 25 zł.

SPÓR O POEZJĘ

...o poezję trwa... Pojawiły się książki teoretyczne, z których głośna była szczególnie rzecz Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony".

„Spór o poezję" czterech młodych humanistów jest konsekwencją wystąpienia programowego grupy „Kontekst" z roku 1973, gdzie postawiono szereg problemów na zasadzie haseł-sygnałów. „Spór o poezję" jest pracą zbiorową owej grupy.

Włodzimierz Paźniewski ukończył polonistykę w Toruniu, jest poetą i krytykiem. Tadeusz Sławek ukończył anglistykę w Krakowie, jest poetą i tłumaczem. Stanisław Piskor — ukończył historię sztuki w Poznaniu, jest poetą i krytykiem sztuki. Andrzej Szuba ukończył anglistykę w Krakowie, jest poetą i tłumaczem.

W książce tej, będącej głosem w toczącej się dyskusji o poezji, wiele jest sądów subiektywnych, wiele opinii przejaskrawionych, ale — jak piszą autorzy — powstała ona w ogniu polemik. Myślę, że dla wszystkich interesujących się współczesną poezją będzie to książka zajmująca.

„Spór o poezję", Wyd. Literackie, cena 40 zł.

LEON MAJEWSKI

WSPOMNIENIA DRUKARZA

ZAPRZAŃCY

Organizacja niestety, nie uchroniła się od elementów szkodliwych. Wdarło się do niej takich dwóch: Kobierecki i Puchalski. Zdobyli zaufanie kierowników i nawet brali udział przy odbiorze zrzutów. Poznali przez to wielu ludzi z organizacji. Pewnego razu, zaopatrzywszy się w broń, poszli... na prywatkę. Napadali na chłopów, rzekomo w imieniu organizacji, ograbiali ich z pieniędzy i wszystkiego, co miało wartość materialną. Organizacja wydała na nich wyrok śmierci. Gdy się zorientowali co im grozi, uciekli pod opieką kuncze skrzydła gestapo. Co się potem działo — trudno opisać. Bandyci oprowadzali gestapowców po mieszkaniach konspiratorów, których zabierano do więzienia. Próbowano się do nich dobrać, lecz bez skutku, bowiem zawsze chodzili z obstawą przydzieloną przez faszystowskich protektorów. Często paradowali dumnie po ulicach Łowicza. Można więc było na razie przyjrzeć się ich nikczemnym gębom i dobrze zapamiętać.

Na przedmieściach Górki mieszkał bardzo bojowy nasz członek „Ignac". Gdy po niego szli, spotkali go na drodze i pytali gdzie mieszka taki a taki (wymienili jego nazwisko). Ignac nie tracąc zimnej krwi, powiedział, że siódmy dom dalej. Gdy odjechali we wskazanym kierunku, „Ignac" szybko oddalił się i dobrnął do lasu. Siepacze nie mogli mu darować tego, że tak szpetnie wystawił ich do wiatru. Ogłosili nawet nagrodę za schwytanie go. „Ignac" zaś zorganizował oddział partyzancki i tęgo zalewał najeźdźcom sadła za skórę.

Organizacja w dalszym ciągu tropiła nikczemnych bandytów. Wobec tego, że „Ignac" stał się takim „drogim" dla gestapo, postanowiono użyć jego nazwiska jako przynęty. Wysłano anonimowy list do gestapo przez małego chłopca, w którym donoszono, że „Ignac" wrócił i jest w tej chwili w domu. Nasi chłopcy z automatami i granatami zajęli stanowiska w rowie przy szosie, oczekując samochodu z siepaczami wraz z towarzyszącymi im w takich operacjach Kobiereckim i Puchalskim. Wreszcie samochód nadjechał. Przywitała go salwa z automatów i granatów. Mniemano, że faszyści przyjmą walkę, a wtedy wyskakujący z samochodu będą znakomitym celem dla bojowców. Gestapowcy zorientowali się w podstępie, dodali gazu i pełną parą odjechali w kierunku Bielaw. Tym razem bandytom uniekło się.

Pewnego dnia dwoje młodych ludzi ubranych z wiejska idzie ul. Zduńską. W bramie jednego z domów, sprzedaje owoce babina. Podchodzą do niej, wybierają jabłka. W głębi bramy w drzwiach prowadzących na zaplecze sklepu frontowego stoi ON, oparty jedną nogą o stopień schodów, rozmawia z właścicielem sklepu. Kupujący jabłka błyskawicznie wyciąga rewolwer i strzela. Bandyta Puchalski wali się na ziemię trafiony prosto w czoło. Zamachowiec Walenciak ujmuje narzeczoną pod rękę i pospiesznie oddalają się. Tak więc jeden z nikczemnych zbrodniarzy poniósł zasłużoną i sprawiedliwą karę. Został jeszcze drugi, Kobierecki. „Harcerzyki", którzy stale śledzili miasto, zawiadomili Organizację, że Kobierecki popija w towarzystwie gestapowca w restauracji na Nowym Rynku. Wysłano zaraz dwóch bojowców z obstawą. Gdy bandyta z towarzyszem podchmieleni wyszli z knajpy, oddano do niego dwa strzały, z których jeden okazał się śmiertelny. Gestapo szalało. Lekarzowi w szpitalu zagrożono, że jeżeli nie utrzyma bandyty przy życiu, zostanie wysłany na front wschodni. Uciekając przed nacierającą Czerwoną Armią, zabrali go jako szmatę-inwalidę.

Według informacji Leksykonu PWN, w rejonie działania GL, AL, BCh, AK — w latach 1939 do 1945 zginęło około 11 tysięcy mieszkańców ziemi łowickiej.

GOŚCIE Z NIEBA

W sam Nowy 1941 Rok, samolot z czterema ludźmi z Anglii zabłądził i skoczkowie wylądowali w lesie w okolicach Kiernozi. Jeden z nich został w lesie z radiostacją nadawczą, a trzej wyszli na drogę, aby zasięgnąć języka i natknęli się na patrol granicznikow hitlerowskich, który zabrał ich na posterunek. Tam chciano ich wylegitymować. Wtedy zatrzymani sięgnęli po rewolwery i dali ognia do żandarmów, którzy „szczupakiem" przez okno rzucili się do ucieczki. Spadochroniarze zaś wyskoczyli na drogę, napotykając jadącego sankami chłopa. Szczęście uśmiechnęło się do nich. Ostrzeliwując goniących faszystów, popędzili sankami w stronę Łowicza. Goniący widocznie nie bardzo kwapili się ich dopaść, ceniąc sobie bardziej życie niż złapanie uciekinierów. Jednego z nich ranili Skoczkowie dojechali jednak do Chaśna i tam w lesie ukryli zalutowane puszki z pieniędzmi. Potem napotkali oczekującego na samolot naszego Kocambę pseud. „Kotygiel", który zaopiekował się nimi, sprowadzając do rannego naszego lekarza.

Na drugi dzień rozlepiono olbrzymie plakaty, zawiadamiające o wylądowaniu „skoczków-bandytów", z których jeden jest ranny. Za ukrywanie ich oraz udzielenie rannemu pomocy przez lekarzy grozi kara śmierci, natomiast za wskazanie miejsca ich pobytu — nagroda.

Teraz najważniejsze zadanie, to jak najprędzej przetransportować ich do innego powiatu. Użyto do tego samochodu „Rolnika" i w taki sposób sprawa została szczęśliwie zakończona. Tylko czwarty skoczek, który został w lesie przy radiostacji nie zameldował się. Prawdopodobnie zginął śmiercią bohaterską.

Na drugi dzień Kotygiel przynosi do mnie puszki zalutowane z pieniędzmi (podobno miało w nich być 100 tys. dolarów). Schowałem je do klatki z królikami, aby przy okazji odwieźć do Warszawy. Za dwa dni jednak przychodzi znów Kotygiel, mówiąc, że jedzie samochodem „Rolnika" do Warszawy, więc pieniądze zawiezie.

ŁAPANKI — WYWÓZKA DO NIEMIEC — WYROK

Zmorą trapiącą społeczeństwo były łapanki i wywózka ludzi na roboty do Niemiec. Kierownikiem Arbeitzantu był hitlerowiec Buchhoje, który znęcał się z sadystycznym upodobaniem nad złapanymi. Mieszkał na ul. Legionów, którą hitlerowcy zaanektowali, jako ulicę dla Niemców. Jeździł codziennie do biura bryczką z karabinem na kolanach. Musiał przejeżdżać przez przejazd kolejowy, który często bywał zamknięty wskutek dużego ruchu pociągów. Tego więc dnia bryczka z satrapą zatrzymała się oczekując aż „szlaban" zostanie otwarty. Nadjechał młody człowiek ze wsi, położył rower na jezdni, wspiął się z tyłu na bryczkę i strzelił prosto w głowę hakatysty, kładąc go trupem na miejscu. Wsiadł na rower i zaczął uciekać ulicą Chełmońskiego. Rozgorączkowany z wrażenia stracił panowanie nad kierownicą, wpadł do rowu. Nie namyślając się, porzucił rower i skierował się w rosnące łany żyta, pod osłoną którego udało mu się zbiec. A był to najwyższy czas, bo zaraz ruszyła pogoń w ulicę Chełmońskiego, gdy tymczasem zamachowiec doszedł zbożem w bezpieczne miejsce. Wielka konsternacja zapanowała wśród okolicznych mieszkańców z obawy przed odwetem, faszyści stosowali zbiorową odpowiedzialność. Jakoż żona zamordowanego, gdy przyjechała z Reichu na pogrzeb, domagała się odwetu na Polakach. I wtedy stała się rzecz charakterystyczna. Starosta wypowiedział znamienne orzeczenie: „Zło rodzi zło, więc odwetu nie będzie". Prawdopodobnie słowa te podyktował mu strach...

NOWA TRAGEDIA

Do Łowicza przeniósł się z Łodzi wraz z rodziną sędzia Swinarski, szwagier inżyniera Lendziona, prowadzącego sklep z materiałami budowlanymi, jak: cement, smoła, papa itp. Sędzia natomiast sprzedawał garnki na rynku — musiał przecież z czegoś żyć. Bardzo często spotykaliśmy się przeprowadzając rozmowy na tematy sytuacji politycznej, pełni nadziei, że Anglia i Francja przyjdą nam z pomocą. Francja jest przygotowana na odparcie agresji, posiada przecież umocnienia — Linię Maginota. W każdym razie wojna dopiero się zaczęła, a Hitler na Francji połamie zęby, a co za tym idzie, nasza sytuacja, aczkolwiek tragiczna, to jednak w końcu przyjdzie wyzwolenie. Tymczasem... faszyści całą swoją potęgą uderzyli. Ominęli Linię Maginota, przez Belgię zajęli Francję i wkroczyli do Paryża.

Trudno opisać rozpacz, jaka owładnęła nas wszystkich. Żona sędziego Swinarskiego płakała jak małe dziecko, a i my wszyscy nie mogliśmy powstrzymać się, by ukryć łzy w oczach. Jak to? Francja, cała nadzieja naszego wyzwolenia, została pochłonięta przez faszyzm nie opierając się dłużej aniżeli Polska, nie posiadająca żadnych umocnień, wielekroć słabsza od uzbrojonego najeźdźcy?

Cios był straszny! Przestaliśmy się łudzić, że wojna prędko się skończy. Teraz dopiero zaczęliśmy doceniać nasze dzielne wojsko, które bohatersko odpierało ataki nacierającego wroga zadając mu duże straty. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak społeczeństwo, podobnie jak my, przeżywa klęskę Francji. Postanowiłem podnieść je na duchu. Podyktowałem sekretarce Ance artykuł, używając terminologii sportowej pt.: „Hitler zginie przez nakaut", w którym wyliczyłem podboje najeźdźcy: Austria, Czechosłowacja, Polska, Francja; to jednak były tylko wygrane rundy, ale w końcowej fazie wojny — Hitler zginie przez nokaut. Odbiliśmy artykuł na powielaczu w dużej ilości i rozesłaliśmy w teren. Naród polski nie załamał się i chyba nie bez znaczenia było krzepiące słowo, odbite przez drukarza. Polacy dowiedli swego męstwa czynami w partyzantkach i organizacjach wojskowych, absorbując duże siły wroga, co osłabiało ich potencjał wojskowy na frontach.

PROWOKACJA FASZYSTÓW — ARESZTOWANIA

W pierwszej dekadzie marca 1941 r. otrzymaliśmy w sztabie Obwodu meldunek, że chor. B. po pijanemu w knajpie chełpi się kto on jest i kim będzie. Po zapoznaniu się z tym doszliśmy do wspólnego wniosku, że takie zachowaniem może nam nawarzyć piwa, którego skutki mogą okazać się fatalne. W takim wypadku lepiej pozbyć się jednego mało wartościowego członka, niż doczekać się klęski wielu wartościowych ludzi. Czyn jednak jego należy złożyć na karb głupoty z powodu opilstwa, a więc nie zasługuje na likwidację. Postanowiono, że trzeba zawiadomić Naczelną Komendę, aby zadecydowała o losie niezdyscyplinowanego członka. Na drugi dzień rano w drodze na kolej wstąpiłem do burm. Kutkowskiego, który uczestniczył we wczorajszym posiedzeniu, aby jeszcze pogadać o moim wyjeździe do Warszawy. Burmistrz powiedział, że rozeszła się pogłoska jakoby żołnierzowi niemieckiemu obcięto uszy. Roześmiałem się i odrzekłem: — To chyba jakaś prowokacja hitlerowska, bo kto by chciał brać się obcinaniem uszu? Jeżeli zaistniała jakaś potrzeba, to by go zabił, ale obcinanie uszu? Nie, to jakaś bujda. Pożegnawszy się z burmistrzem, pojechałem do Warszawy. Tam przedstawiłem sprawę chor. B. i otrzymałem zapewnienie, że przeniosą go do Sochaczewa.

Gdy na drugi dzień wróciłem do Łowicza o godz. 18, całe miasto tonęło w ciemnościach, a ludzie jakoś chyłkiem wracali do domów. Na drodze podeszła do mnie nieznajoma mi pani, oświadczając: — Niech pan nie idzie do domu, bo jest już godzina 18 i wprowadzono o tej porze godzinę policyjną, a w nocy nastąpiły aresztowania; zaczyna wyliczać lekarzy, nauczycieli i wielu spośród inteligencji, których aresztowano jako zakładników. Prawdopodobnie wiedziała, że po drodze mam przyjaciół, do których mogę pójść przenocować.

Faszyści zorientowawszy się, że robota niepodległościowa przybiera coraz większe rozmiary, uciekli się do podstępu, głosząc niewyszukaną bajeczkę o obcięciu uszu żołnierzowi. Początkowo łapali kogo popadnie, torturowali i wymuszali zeznania, aż dotarli do ludzi z organizacji.

Nie sprawdziłem kto tę panią wysłał, aby mnie ostrzegła, ale chyba to był ktoś ze sztabu, który wiedział, że będę wracał z Warszawy, bo istotnie w czasie mojej krótkiej nieobecności, w Łowiczu dokonały się ogromne, tragiczne zmiany. Zaszedłem przeto do przyjaciół Riedlów. Ci, bardzo wystraszeni, uzupełnili wiadomości o aresztowaniach: dyr. Somorowskiego, ks. Kopczewskiego i wielu innych naszych ludzi. Ksiądz Kopczewski, nasz skarbnik, kapelan w kościele Panien Bernardynek, wygłaszał płomienne, patriotyczne kazania, na które przychodziło pół Łowicza. Cytował na przykład urywek z utworu Słowackiego pod tytułem „Rozmowa z piramidami":

— Piramidy, czy wy macie takie trumny-sarkofagi, gdzie by można ducha schować?

— Idź i pracuj, a bądź wierny
bo twój Naród nieśmiertelny.
My umarłych tylko znamy, a dla
Ducha trumn nie mamy...

Na kanwie tego utworu zagrzewał wiernych do wytrwania, nie tracenia ducha i patrzenia z wiarą w przyszłość.

Po aresztowaniach w nocy, w ciągu dnia jeździł samochód po mieście i przez megafon, w imieniu starosty obwieszczał złowieszczo: „Wobec tego, że sprawcy bestialskiego napadu na żołnierza niemieckiego nie zostali wykryci, zmuszony jestem wziąć dalszych zakładników". Potwierdziło się zatem moje przypuszczenie w rozmowie z Kutkowskim o prowokacji hitlerowskiej. W nocy nowe aresztowania i tak przez osiem dni i nocy. Gdy rano poszedłem do domu, usłyszałem nowe wiadomości o tragicznych wydarzeniach. Poszedłem pod więzienie, by zorientować się w sytuacji, rozmyślając nad pomocą aresztowanym. Tam, przez okno na piętrze zaczął rozmawiać ze mną Masztanowicz, dowcipkując, że jest im „dobrze". Nazajutrz spotkałem panią Somorowską. Powiedziała, że mąż ostrzegł, abym się tam nie pokazywał.

Zadziwiła mnie naiwność ludzi — zdawałoby się rozsądnych, jak mogli ufać gestapowcom wierząc, że nic złego się im nie stanie. Ksiądz Kopczewski i dyr. Somorowski, których nie było w domu, gdy siepacze po nich przyszli, sami stawili się do gestapo, na drugi dzień w obawie, że zabiorą przełożoną klasztoru Panien Bernardynek, dyr. Somorowski zaś w trosce o żonę, aby jej nie zabrali zamiast niego. Inż. Lendzion zdołał ulotnić się, zabrali za to jego żonę „Ankę" — moją sekretarkę. „Boryna" również ukrył się i uniknął aresztowania.

Stanisław Bluszcz pseud. „Bzura", kolejarz, był bardzo dzielnym i oddanym patriotą. Ciągle domagał się, aby powierzać mu odpowiedzialną robotę. Był naszym łącznikiem ze Skierniewicami, skąd zaopatrywał nas we wszystkie stemple niemieckie oraz przywoził stamtąd „bibułę". 12 marca, czujny na tragiczne wydarzenia, poszedłem do niego do mieszkania. Był dzień, w którym właśnie powinien pojechać do Skierniewic. Okazało się, że nie pojechał tłumacząc, że miał klientów, handlował mięsem, musiał przecież z czegoś żyć, ale dzisiaj pojedzie. Zabroniłem kategorycznie. W tej sytuacji to niebezpieczne, a i kolportaż byłby niemożliwy. Po tej rozmowie wróciłem jak najprędzej do domu, bo czułem, że mi się stopy palą. Po południu mój „Bzura" przychodzi, obładowany bibułą. Mimo mojego zakazu pojechał. Zaczynam go beształ za niewykonanie rozkazu, ten zaś podaje mi list. Czytam: „Kochany Tatusiu! Nie przychodź do domu, bo było gestapo, zrobili rewizję i zamiast Ciebie zabrali mamusię, a mnie zamknęli w mieszkaniu", 13-letnia córka, garbata, miała wygląd małego dziecka, które siepacze pozostawili. Napisała więc ten list, bawiącej na podwórzu koleżance wyrzuciła oknem, prosząc, aby pobiegła na dworzec i wręczyła go ojcu, gdy przyjedzie. Nie ulegało już żadnej wątpliwości że — po nitce do kłębka — gestapo dobiera się do nas. Tylko szczęśliwy przypadek, że Bluszcz nie wykonał mojego zakazu zabraniającego wyjazdu do Skierniewic, okazał się dla niego i dla mnie zbawienny. Zacząłem więc pakować bibułę do pieca. Nie mogło być przecież mowy o kolportażu. Gdy pozbyłem się kompromitującego towaru, powiedziałem do Bluszcza? — A teraz do Warszawy, tam się spotkamy. Żona zaczęła nalegać, abym czym prędzej uciekał. Powiedziała: — Pamiętaj, gdybym nawet pisała żebyś przyjechał to będzie to wymuszone. Mnie, gdy zabiorą, to jakoś przetrzymam, wielkiej krzywdy mi nie zrobią.

Zaczynam się zastanawiać, dokąd mam się udać na noc; do Riedlów niebezpiecznie, bo często tam przebywałem. Zwracam się więc do narzeczonego córki, Tadeusza Jasionowskiego, aby rano przyjechał do mieszkającego na Kostce mojego brata, na rowerze (przed wysiedleniem rowery męski i damski schowałem u szwagra) i powiadomił mnie o sytuacji. Gdy wyszedłem z domu, wstąpiłem po drodze do Magistratu. W rozmowie z burmistrzem Kutkowskim i por. Kębłowskim naświetliłem sytuację, jaka zaistniała, zalecając aby uciekali. Tłumaczyli, że są na stanowiskach i jeżeli znikną, spalą mosty za sobą. Perswadowałem, że to nie przelewki, bo najwyższy czas, aby uciekać. Nie mogłem wiele czasu poświęcić na rozmowę z nimi, bo czułem, że mogę nie zdążyć uciec.

O godz. 7 rano Jasionowski przyjechał. Pytam: — No jak tam, wszystko w porządku? — Nie bardzo — odpowiada. — Byli? — Tak, tylko imię się nie zgadzało, szukali Karola Majewskiego. Dla mnie stało się jasne. „Karol" to był mój pseudonim. Któryś z naszych ludzi nie wytrzymał tortur i zaczął sypać. Wsiałem więc na podany mi rower i tyłami poza miastem pojechałem do Skierniewic. Tam na placówce w aptece zostawiłem rower, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Warszawy.

Żandarmi nie zadowolili się tym, że mnie nie zastali. W powrotnej drodze wstąpili do Riedlów mniemając, że tam mnie znajdą. I tu moje ostrożne przewidywania sprawdziły się.

Następnego dnia rano pod same drzwi sklepu zajechał mały samochód, z którego wyskoczyli gestapowcy.

— Gdzie mąż? — pytają żony.

— Pojechał do Warszawy.

— Wszyscy do Warszawy? Po co?

— Po towar do sklepu. A o co chodzi? — pyta naiwnie żona.

— Nic takiego, drobiazg, podobno mąż przechowuje oficera polskiego.

— To nieprawda — odpowiada żona — przecież bym o tym wiedziała.

— Nie szkodzi, jak wróci, niech się zgłosi do Starostwa numer pokoju 13, bo jeżeli się nie zgłosi, to będzie znaczyło, że ma coś na sumieniu, a wtedy wszędzie go znajdziemy. Odjechali. Żony jednak nie zabrali, może dlatego, że prowadziła sklep rozdzielczy? Ściany pokoju numer 13 w Starostwie były zbryzgane krwią katowanych więźniów. Wzięto również Kutkowskiego i Kłębowskiego. Barbarzyńcy nasycili się sukcesem mordowania patriotów polskich. Organizacji jednak nie rozbili. Ludzie otrząsnęli się z tragedii, bratnie organizacje połączyły się w jedną Armię Krajową AK i przeszli do kontrataku. Obwód przejął major Lucjan Zieliński pseudonim „Wojciech". Żona zaś moja prowadziła dom kontaktowy, przez który przechodziły meldunki.

Wydana w Polsce Ludowej broszura pt. „Palmiry" wylicza pomordowanych i pochowanych w Palmirach z Obwodu Łowickiego: Kutkowskiego, Kębłowskiego, por. Subocza, Kazunia, Masztanowicza i wielu innych. Dyr. Somorowski został wywieziony do Oświęcimia i tam zamordowany, księdza Kopczewskiego wywieziono do Dachau, gdzie przetrwał do końca wojny i wyjechał do Ameryki.

Burmistrz Niedzielski przeniósł się do Głowna, gdzie założył skład piwa, a w roku 1943 został aresztowany i stracony.

Wielki bohater Kocemba-Kotygiel w tym samym roku został podczas śledztwa zakatowany na śmierć. Nikogo jednak nie wydał.

(cdn.)

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

USŁUGI DLA LUDZKOŚCI

Niedawno pisał KTT, że na spotkaniu w Łodzi zapytano go obcesowo: „z czego pan żyje?" KTT dochodzi do wniosku, że żyje z działalności usługowej. To stwierdzenie jest — oczywiście — prawdziwe. Ludzie pióra żyją wszak z pisania dla innych, a zatem jest to działalność usługowa.

Nie ze wszystkim jednak. Nie istnieje zjawisko publicznego zainteresowania z czego (i za ile) żyje hydraulik czy specjalista od klejenia tapet. Wszyscy natomiast interesują się sposobami zarobkowania człowieka pióra. A zarobkowanie to w sposób znaczny różni się od zarobkowania tzw. fachowców.

Kiedy zapragnąłem sobie wyklejć tapetę w mieszkaniu, to z góry musiałem zapłacić 90 procent skalkulowanej przez spółdzielnię usługową opłaty. Cud boski, że mi tapetę położono nie najgorzej i w terminie, ale gdyby stało się inaczej (co się przecież zdarza), znalazłbym się w sytuacji faceta, który nieopatrznie kupił kota w worku.

Działalność usługowa pisarza daleka jest od takiej finansowej skrupulatności.

Pewna Rada Zakładowa zwróciła się do pewnego pisarza o napisanie tekstu całego programu jubileuszowego. Było to w czerwcu, tekst został napisany we wrześniu, a w grudniu Rada Zakładowa oświadczyła, że nie ma pieniędzy. Podano mglisty termin: „po nowym roku".

Owej Radzie Zakładowej proponowałbym, aby tą metodą spróbowała załatwić jakąkolwiek sprawę w spółdzielni usługowej. Albo, żeby przedstawiciel Rady poszedł na halę produkcyjną i oświadczył robotnikom, że wynagrodzenie za pracę dostaną „po nowym roku".

Inny pisarz wykonał pracę dla pewnej instytucji w lipcu — honorarium otrzymał w grudniu. Są to sytuacje codzienne, powszednie i bardzo częste. Jak tu więc mówić o działalności usługowej?

Uważa się powszechnie, że artyście „nie wypada" mówić o pieniądzach. A jeśli któryś sprawy finansowe chce postawić jasno — uważa się to za nietakt. Myślę, że nie zawsze chodzi tu o pieniądze. Myślę bowiem, że dążenie artystów do skrupulatności i jasności w sprawie wynagrodzenia za pracę bierze się stąd, iż chcą oni być traktowani jako f a c h o w c y. Specjaliści od określonej r o b o t y, mający prawo do tego, aby ich traktować po prostu jako ludzi pracy. A ludziom pracy nikt nie proponuje wynagrodzenia w niedalekiej przyszłości, tylko wyciąga portfel lub otwiera kasę i płaci skrupulatnie i w terminie.

Pytanie do Toeplitza: „z czega pan żyje", bierze się również stąd, że do dziś wielu ludzi za pracę uważa wytwarzanie wyłącznie wartości materialnych. Natomiast p r o d u k c j ę wartości umysłowych, intelektualnych, artystycznych uważa się za hobby, jeśli nie zgoła za fanaberie.

A przecież, jeśli rodzaj ludzki przetrwał te parę milionów lat, to także dzięki temu, że pewna jego grupa wytwarzała i wytwarza wartości duchowe, bez których nie byłoby myśli, języka, narodów, kultury — a nawet nie powstałby ten pierwszy toporek z łupanego kamienia.

Tak więc pisarz czy artysta świadczą podwójne usługi. Nie tylko dla ludności, ale także dla l u d z k o ś c i.

WIDOK

PROPOZYCJE

CZY BĘDZIE CIĄG DALSZY „POLSKICH DRÓG"?

Przez 12 kolejnych niedziel śledziliśmy z zapartym tchem koleje telewizyjnego losu bohaterów „Polskich dróg". Chwaliła na początku emisji ten serial Małgorzata Karbowiak w „Głosie Robotniczym". Chwalili go wszyscy, był on tematem codziennych rozmów, a to już dla telewizyjnego filmu wielkie uznanie. Był ten serial niewątpliwym wydarzeniem. Większość jednak recenzentów czekała końca. Czekała cierpliwie i doczekała się. Teraz można go w pełni ocenić.

Nim jednak posypią się oceny specjalistów jest czas na kilka luźnych refleksji. W czwartek, 29 grudnia, 1977 roku w sympatycznej radiowej audycji „Sygnały dnia" autor scenariusza, Jerzy Janicki spotkał się ze słuchaczami, wypowiedział swoje zdanie na znany nam wszystkim temat „Polskich dróg", a następnie wysłuchał opinii i uwag radiosłuchaczy. Radio stara się przy każdej okazji utrzymywać żywy, telefoniczny kontakt ze swoimi słuchaczami, szybko reaguje na ich uwagi i postulaty. A słuchacze domagają się dalszego ciągu „Polskich dróg". Nieoceniony Sławomir Szof, który tego dnia prowadził „Sygnały dnia", z radością i dumą wyznał, że bardzo się cieszy, jeśli Jerzy Janicki i Telewizja Polska spełnią ten postulat, bo Polskie Radio w tej dziedzinie niewiele może.

„Polskie drogi" rozwijały się płynnie i drobiazgowo. Ludzie, którzy przeżyli okupację, mówili z uznaniem: — tak było. Film cofał ich pamięć do tamtych, tragicznych i strasznych lat, przeżywali koszmar okupacji ponownie. Byli przy tym bardzo drobiazgowi, zwracali uwagę na najdrobniejsze szczegóły, a jeśli zabrakło gdzieś logiki, czy dokumentacji i coś nie zgadzało się z zapamiętaną rzeczywistością, mieli to twórcom za złe.

Zwrócono na przykład uwagę, że kiedy Leon Kuraś idzie wykupić z gestapo Władka Niwińskiego to nie może znać jego nowego nazwiska, gdyż dokumenty na to nazwisko Władek Niwiński otrzymał na kilka minut przed aresztowaniem. A Kuraś wie. Skąd? Albo, że Leon Kuraś nie może posługiwać się platformą na gumowych kołach, bo takich platform w czasie wojny nie używano. Albo...

Jednak nie o szczegóły i drobiazgi chodzi. Los Polaków pokazany w „Polskich drogach" był prawdziwy, choć niepełny. W radiowym spotkaniu, o którym wspomniałem, zarzucono Janowi Janickiemu, że tytuł „Polskie drogi" sugeruje rozległą panoramę polskiego losu. Polacy w tej wojnie byli niemal na wszystkich frontach. Byli w Afryce, pod Monte Cassino, pod Lenino i w Berlinie. Autor scenariusza bronił się, że jemu chodziło o ideowe drogi Polaków, o ideowe dojrzewanie Polaka, o dochodzenie do naszej współczesnej koncepcji Polski. Dla mnie jest to jednak odpowiedź niewystarczająca, bo w końcu ludzie dojrzewali ideowo i kształtowali koncepcję nowej Polski nie tylko w kraju. Przecież nie wszyscy, którzy walczyli pod Lenino do końca wiedzieli, jaka ta przyszła Polska będzie, nie wyobrażali sobie tej Polski w pełnym jej przyszłym kształcie. Również i ci, którzy szli do Polski z zachodu nie zawsze byli przekonani, że odrodzona Polska powinna być taka sama, jak ta sprzed września 1939 roku. Ale Jerzy Janicki wybrał inną koncepcję swego filmu i miał do tego prawo.

W miarę jak oglądaliśmy kolejne odcinki, w miarę jak akcja serialu zagłębiała się w okupacyjną rzeczywistość, mąciła się jej klarowność. Można było w ostatnich odcinkach „Polskich dróg" dopatrzeć się nadmiernego dążenia do upraszczania akcji, zbyt pośpiesznego syntetyzowania, pochopnego operowania skrótami. Miało się takie wrażenie, że im więcej przybywało faktów, tym trudniej poruszali się wśród nich realizatorzy, a tym łatwiej widz gubił wątek, zadając sobie i innym pytanie: — skąd on się tam wziął?

Widzowie mają żal do Jerzego Janickiego, że uśmiercił obu bohaterów. Wprawdzie ostatnie kadry filmu sugerują, że walka trwa dalej, a na pustą drogę wejdą następni, ale co innego sugestia, a co innego obraz, który pokazał śmierć tych, których polubiliśmy. Jerzy Janicki miał swoje racje, wszakże widzowi trudno oswobodzić się od myśli, że relacja o polskich drogach została w połowie przerwana. Widz wprawdzie zna historię i wie, jaki był ciąg dalszy. Tylko, że tu znów czym innym jest zobiektywizowana wiedza, a czym innym historia pokazana poprzez los ludzi, z którymi chcemy się utożsamiać.

Widz domaga się więc ciągu dalszego, wbrew wiedzy o historii. A domaga się dlatego, że „Polskie drogi" rozbudziły w nim potrzebę oglądania swoich dziejów. I to jest wielka zasługa tego filmu. Pokazał on, że nie wygasło w nas zapotrzebowanie na poznawanie przeszłości, że jest ono żywe, mimo że dojrzewają nowe pokolenia, dla których jest to już tylko historia. Dla tych pokoleń tylko historią jest też rok 1944, historią jest walka o władzę ludową, historią odbudowa kraju i plan sześcioletni. Ale wszyscy chcemy tę historię zobaczyć. Chcemy do niej wracać, mówić o niej, dyskutować, spierać się. I nie może być inaczej, bo jest to nasza historia.

MARCIN RODAK

NIE TYLKO HISTORIA

HEROIZM i KOMPROMIS

Biografistyka historyczna, ta jedna z najstarszych form pisarstwa historycznego, zmienia na naszych oczach swoje oblicze. Niegdyś, kiedy łudzono się, że wyjaśnienie kolei życia i działalności wybitnych jednostek przyniesie pełne objaśnienie mechanizmu stawania się dziejów, nie wyobrażano sobie nawet, że biografia może dotyczyć czegoś więcej, aniżeli jakiejś postaci historycznej. Dzisiaj, kiedy zdajemy sobie coraz lepiej sprawę zarówno z doniosłości roli mas ludzkich w dziejach, jak i środowiskowych uwikłań najwybitniejszych nawet indywidualności historycznych, oprócz tradycyjnych opracowań biograficznych, prezentujących koleje życia i aktywności poszczególnych postaci, rozwijają się badania nad biografiami szerszych środowisk społecznych. Biografistyka zbiorowości stawia sobie na celu „stworzenie obrazu, w którym dostatecznie wyraźnie rysowałaby się indywidualność poszczególnych osób, a równocześnie uchwycone byłyby związki między nimi na płaszczyźnie porównawczej". Jednocześnie zabiega o to, aby stworzony przez nią obraz był „ściśle wkomponowany w uwarunkowania społeczno-ekonomiczne, kulturowe i polityczne, przy tym zmieniające się w czasie".

Zaczerpnąłem te słowa ze wstępu do niezmiernie interesującej książki Tadeusza K i s i e l e w s k i e g o zatytułowanej: „Heroizm i kompromis. Portret zbiorowy działaczy ludowych", której część pierwsza ukazała się niedawno (1977) w wydawnictwie „Książka i Wiedza". Jest ona ambitnym przykładem biografii zbiorowości: mianowicie wybitnych działaczy polskiego ruchu ludowego od jego powstania aż do odzyskania przez Polskę niepodległości po I Wojnie Światowej. Autor poddał analizie 32 postaci ze wszystkich trzech zaborów, osób reprezentujących trzy pierwsze pokolenia działaczy ruchu ludowego. Jest to oczywiście jakiś wybór, na tyle jednak szeroki, obejmujący właściwie wszystkie wybitniejsze nazwiska, że wnioski wyprowadzone z analizy biograficznej tej zbiorowości posiadają istotny walor poznawczy. T. Kisielewski starał się w tej pracy uwzględnić „wszystkie osoby, które odgrywały przywódczą rolę w procesie tworzenia i rozwoju ruchu ludowego okresu zaborów". Wziął pod rozwagę nie tylko działaczy „instancji centralnych", ale również tych, dla których obszarem aktywności było przede wszystkim „określone terytorium". Uniknął ograniczenia perspektywy do śledzenia ludzi, reprezentujących jedynie organizacyjną hierarchię badanego przezeń ruchu. „W przyjętej przez nas skali wartości — podkreślił — nie stanowiły przy tym niezawodnego drogowskazu funkcje i stanowiska zajmowane w hierarchii partyjnej". Chodziło mu przecież o zbadanie zbiorowości przywódców ruchu społecznego i politycznego, nie zaś jedynie reprezentantów jego kolejnych czy paralelnych, zmieniających się form organizacyjnych. Stanowisko to godne zauważenia, skoro tak często w praktyce, nie tylko naszej historiografii, spotykamy się ze świadomym bądź nie sprowadzaniem historii ruchu jedynie do dziejów elit reprezentujących ów ruch partii politycznych. Tego rodzaju ograniczenie horyzontu owocuje w praktyce niedostrzeganiem przez badaczy wielu istotnych spraw, nie mieszczących się w „organizacyjnej" historii danego ruchu społecznego.

T. Kisielewski uczynił rzetelny wysiłek, aby „empirycznie" określić determinanty świadomości — w terminologii autora „mentalności" — przedstawicieli badanych przez siebie generacji działaczy ruchu ludowego. Uniknął przy tym przyjmowania gotowych, receptu-ralnych, tyleż nieuzasadnionych, co często powtarzanych schematów. Śledząc biografie działaczy najstarszego pokolenia ruchu ludowego w Galicji wskazał, że ludzie ci, zarówno pochodzenia inteligenckiego jak i chłopskiego, którzy „stworzyli poprzez swoją dociekliwość intelektualną i ideową oraz działalność społeczno-polityczną i gospodarczą podwaliny ruchu ludowego w Galicji i po części ogólnokrajowego", osadzili u podstaw ruchu trzy naczelne wartości. Były nimi: „patriotyzm, dążenie do społecznego, ekonomicznego i politycznego wyzwolenia chłopów oraz demokratyzm". W podobny sposób zanalizował autor również działaczy innych generacji, a także innych zaborów.

Niezmiernie ciekawa to, fascynująca książka. Ciekawa w swej warstwie faktograficznej, ale bodaj jeszcze bardziej interesująca pod względem metodologicznym. Autor jest w pełni świadomy, że w historii fakty nie są ostatecznym i jedynym celem badacza, że muszą one służyć do ustalania zachodzących pomiędzy nimi relacji, rekonstruowania ogólniejszych całościowych układów. Zmierzał on więc do tego, aby przez zbadane przez siebie fakty „pokazać żywych ludzi", a jednocześnie „zdefiniować osobowość społeczną" zarówno poszczególnych osób jak większych grup i środowisk działaczy ruchu ludowego. Fachowa krytyka z pewnością wytknie badaczowi to czy owo, nie będzie wszakże można pominąć milczeniem faktu, że T. Kisielewski pokazał, jak mało owocne są w badaniach nad dziejami ruchów społecznych tradycyjne, indywidualistyczne ujęcia biograficzne, oraz jak wiele pożytku może przynieść zreorientowanie biografistyki w stronę badania ludzkich zbiorowości. Z całą pewnością przykład tej książki — nie pierwszej zresztą w naszej nauce próby biografistyki zbiorowości — zasługują na uwagę tych wszystkich, którzy zajmują się problematyką dziejów nowoczesnych ruchów społecznych i politycznych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

LEON GOMOLICKI

Ma w sobie coś z mrówki;
Pisze na cztery stalówki.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

LEWYM OKIEM

GŁOWA KOTA

W jednym z felietonów w listopadzie napisałem, że stosowanie pasów ochronnych przy myciu okien niewiele by dziś pomogło, bo w razie wychylenia się człowiek wypadłby razem z całym oknem. Ktoś ni wtedy zwrócił uwagę, że swa zgryźliwość i pesymizm posuwam zbyt daleko. Chciałbym, żeby tak było. Niestety, „Kultura" z 4 grudnia doniosła o konkretnym zdarzeniu w Spółdzielni Mieszkaniowej „Świt" we Wrocławiu: „Pewnego dnia zdarzył się wypadek. Podczas mycia okien wypadła na podwórze razem z futryną żona Gołki, Bożena. Szczęście, że mieszkanie znajdowało się dość nisko i nie doszło do tragedii".

Pisałem też — w felietonie o bezpieczeństwie i higienie pracy — że stworzono wiele przepisów, cały ich skomplikowany system, aby ograniczyć do minimum możliwość tragicznych wypadków. Temu samemu celowi służy ogromny i kosztowny aparat „Sanepidu", mający nas chronić przed chorobami zakaźnymi. Piękna sprawa, szczytny cel, nie wolno tu oszczędzać na kosztach i na etatach. Tylko czy aby bez reszty wyzbyliśmy się reliktów myślenia magicznego, wiary w rytuał, w skuteczność rytualnych gestów, w szamaństwo?

W mojej wieloletniej karierze pacjenta różnych specjalności mnóstwo razy byłem obiektem pomyłek w różnych analizach, szczepieniach, prześwietleniach. Na szczęście „nie doszło do tragedii" — jak we wrocławskiej spółdzielni mieszkaniowej. A oto czytam o kobiecie spod Słupska, którą mocno podrapał jej ulubiony kot, po czym tego samego dnia zdechł. Kobieta jako sanitarnie uświadomiona poszła do Sanepidu, żeby ją zbadali i wykluczyli ewentualną wściekliznę. Otóż — uwaga: nikt nie chciał takich badań przeprowadzić! Odsyłano kobietę z przychodni do przychodni, wreszcie (pisemnie!) polecono jej nadesłać uciętą głowę rzeczonego kota, oczywiście dawno już pogrzebionego. Skandaliczna rzecz! A przecież — słowo daję — bynajmniej nie wyjątkowa. Znam to z własnych doświadczeń.

Podczas wakacji, które spędzałem z żoną i córką, stwierdzono u córki zakaźną żółtaczkę. Takich pacjentów umieszcza się w zamkniętym oddziale szpitalnym, nie wolno ich odwiedzać, stykać się z nimi i tak dalej. Bardzo pięknie. Przysłano nam słuszny nakaz zgłoszenia się do koniecznych badań i analiz. Bardzo pięknie. Ale myśmy już przed nakazem poszli się zbadać — i nikt nie chciał tego zrobić! Z wielkim zdziwieniem pobrano próbki krwi, które potem gdzieś się zapodziały. Wyniki analizy kazano nam ścigać po całej Łodzi, aż wreszcie w Sanepidzie przy ulicy Wodnej po bardzo, bardzo długim poszukiwaniu w olbrzymiej kartotece dyżurna panienka powiedziała — chyba po to, żeby pozbyć się kłopotliwych klientów — że wyniki te wysłano do nas pocztą.

Nie otrzymaliśmy nigdy niczego. Córka dawno wyzdrowiała, nas ominęło, „nie doszło do tragedii". Nakaz zakończony ostrzeżeniem i groźbą nie miał nigdy dalszego ciągu, nikt się sprawą nie zainteresował, żadnego badania nie było. Był pusty, szamański gest: wysłanie nakazu. Odfajkowano. Na szczęście nikt nam też nie kazał przysyłać niczyjej głowy.

Przykro się robi na myśl, że może — a nawet na pewno — takich przypadków jest niemało. No i po co te ostrożności w szpitalu, te kartoteki i druczki, osobne pawilony, armia personelu w biurach i przychodniach? Po co wymyślać kunsztowne zamki i bramy dla obrony przed włamywaczem, stawiać przy drzwiach czujną i uzbrojoną straż, kiedy z drugiej strony nie ma wcale ściany?

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 52-44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2773. I-2